Nr. 30 (1178). Warszawa, dnia 12 (25) Lipca 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaz pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

O armię węgierską.

—♦—

Powołanie Khuena-Hedervarego do sterowania rządem węgierskim było prawdziwem dla Austryi, a może i dla Habsburgii nieszczęściem. Człowiek z po za sejmu wzięty w chwili, gdy właśnie sejm zatamował prawne funkcyonowanie władz rządowych i skarb pozostawił na dobrej woli obywateli, czy zechcą płacić podatki, czy nie — stoi przed narodem bez powagi parlamentarnej, bez zasad i dążeń organicznie wrosłych, nawet bez politycznego godła, pod któremby mógł prawowicie ze stronnictwami radykalnemi się zmierzyć i choćby tylko spróbować zwycięztwa, gdyby odnieść je było niepodobieństwem. Do tego grzechu pierworodnego przybywa jeszcze nieudolność indywidualna. Łatwo było bez żadnych zdolności, prócz biurokratycznej wprawy, być banem w Chorwacyi; ale stanowisko węgierskiego prezesa ministrów wymaga dziś człowieka z rozumem praktycznym, wysoce zaostrzonym a głębokim, wymaga też tej sprawności w stosunkach, której bez praktycznego talentu wyobrazić sobie niepodobna. Khuen nie ma żadnych zgoła kwalifikacyj do zajmowania miejsca, które mu król powierzył, i zamiast niezbędnego w życiu politycznem uroku budzi powszechną niechęć lub obojętność. Stronnictwo liberalne, które masą swoją wyrobiło sobie większość, przyjęło go, ale go nie popiera; nie lgnie do niego. Król uważa go tylko za wysuniętego naprzód piona na szachownicy, nie ufa jego siłom, nie liczy na jego pomysły i czyny. Stronnictwa radykalne wreszcie gardzą nim więcej nawet, niż na to zasłużył za swą małość i czczość. Najnieszczęśliwszy wybór ze wszystkich, jaki zrobić było można.

Wraz z ujęciem steru przez takiego człowieka musiała się skołatana łódź państwowości węgierskiej niebezpiecznie przechylić ku zagładzie. Pierwsza już mowa Khuena, pierwsze zgotowane mu przyjęcie, niepamiętne w dziejach węgierskiego sejmowania — było zapowiedzią burzy gwałtowniejszej od wszystkich dawniejszych. Uczestnictwo Kossutha w układach, które poprzedziły wytworzenie gabinetu, zamiast skrępować, przeciwnie rozpasało stronnictwo Niezawisłości. Syn dyktatora z roku 1849, mąż już narodowy, nagle ocknął się za progiem, wyrzucony przez tych, którym już nie wystarczał. Z żywiołową prawdziwie siłą wydarto mu odrazu i urok i powagę. Nie pomogło mu złożenie przewodnictwa zaraz po pierwszych scenach sejmowych z Khuenem; nie pomogło zatrzymanie go nadal, gdy większość, a raczej ta grupa, którą za większość uważał, uchwaliła mu zaufanie. Odrazu już po wstępnej mowie Khuena stał się dla radykalnych jego wspólnikiem, i nic już ocalić go nie zdołało. Wierny układowi ze stronnictwem liberalnem, chciał powstrzymać tamowanie obrad, jedyną dziś funkcyę parlamentarną radykalizmu węgierskiego — na to tylko, aby rządu i Khuena samego nie uratować, a siebie i wobec stronnictwa, pędzącego do przewrotu, i wobec kierowanej przez nie opinii pogrążyć w odmęt, grożący nicością. Z ośmdziesięciu członków klubu, który on sam zorganizował, nie pozostało przy nim nawet dwudziestu; około sześćdziesięciu porwała mu idea zupełnej niezawisłości od Austryi, z jedyną tylko jeszcze unią dynastyczną — idea, której dotychczas rzecznikiem najgorętszym był ów wspomniany tu już Barabas, poseł z Wielkiego Warażdynu.

Klub jeszcze się formalnie trzyma razem, ale rzeczywiście już nie istnieje; rozpadł się na dwa odłamy: większy barabaszowy, i mniejszy, skupiony około Kossutha, ale w stanie jeszcze anorganicznym będący. Tradycyjny radykalizm narodowy w odłamie większym nietylko powiedział jasno, czego chce, ale i energicznie zabrał się do wewnętrznej swej organizacyi; ma już i upatrzonego prezesa, Beöthy'ego, i niezawodnego wiceprezesa, Totha. Żądania, na długiej liście spisane przez Ballonyi'ego, wygłoszone w stronnictwie, podane do wiadomości prezydyum sejmowego, zaopatrzyły nowy radykalizm w programat, jawnie zmierzający do zdobycia dla Węgier własnej armii narodowej, najzupełniej z austryacką równouprawnionej, najdoskonalej samoistnej, tak iż tylko wspólny wódz, a raczej rozkazodawca naczelny byłby łącznikiem hierarchicznym między jednem a drugiem zbiorowiskiem zbrojnem. Kto ma taki dla narodu programat, ten będzie miał i naród cały za sobą. Jeżeli nic ruchu wszczętego już dawniej, ale prawdziwie rozwijającego się dopiero teraz, nie wstrzyma, to ktokolwiek zechce być na Węgrzech patryotą, będzie musiał być zarazem i radykalnie „niezawisłym." Wszystkie stronnictwa utoną z czasem w jednem: w tem, które Kossuthowi posłuszeństwo wypowiedziało; rozpadną się Liberalni; zmartwychwstaną i dawni Narodowcy Apponyi'ego Wszystkich powali, skruszy, w nową formę powtłacza potężniejsza nad inne w każdym narodzie żądza posiadania własnego wojska.

Polonyi głośno a szczerze powiedział w sejmie — skąd się wzięło to namiętne wołanie o własną, doskonale własną armię. Oto cesarz jest już bardzo sędziwy, a ten,

kto po nim przyjdzie — niepewny; cesarz szanuje konstytucyę: trzeba więc z czasu jego życia, z konstytucyjności jego usposobienia korzystać. Węgrzy muszą mieć samoistną organizacyę wojskową nietylko dla pięknej politycznej dumy, ale i dla koniecznego narodowego istnienia. Znajdując się w mniejszości wśród ulegających im ludów, tylko w armii istotnej i istotnie narodowej znajdą tarczę ochronną dla swej narodowości. Sprawa armii jest zatem sprawą samego bytu. Takie pobudki potęgują jeszcze ową żądzę, ujętą przez Ballonyi'ego w poszczególne żądania; wszystko złagodzić, powściągnąć, wszystkiego wyrzec się można, tylko nie życia. Prawdziwy czy fałszywy tak zespolony syllogizm dla wyobraźni — głównie przecież żyją gromady rządzonych — jest absolutem. Za parę miesięcy z całego wielkiego patryoty węgierskiego w Zagrzebiu, nie pozostaną nawet drzazgi w Peszcie. Przyjść muszą ludzie nowi i niezawodnie też przyjdą na początek może Aponyi; ale nastanie w rozwoju idei — królującej dziś na Węgrzech moment, w którym „korona“ zwróci się o pomoc do Kossutha. Wyrzucenie go przez niezawisłych dało mu już dojrzałość do rządów; oczywiście będzie je sprawował nie dla „korony,“ ale dla swej ojczyzny i nie on stłumi ten krzyk wielki o własnego żołnierza, którym dziś już rozbrzmiewają miasta, miasteczka i nawet wsie węgierskie. A z chwilą pozyskania przez Węgrów armii narodowej, choćby w skromniejszym zakresie niż ją chce widzieć Ballonyi, zmaleje, osłabnie, zmarnieje do reszty Przedlitawia. Środek ciężkości monarchii przeniesie się do Pesztu. Prorocze słowa, wężowa rada Bismarcka stanie się rzeczywistością. Wtedy obowiązkiem Węgrów będzie podbić Przedlitawię, zapanować nad nią — jeśli chcą żyć. Nie ostoją się bez niej i ona przez nich tylko stać będzie.

W Watykanie.

Rzym, 18 lipca.

Naprzód odczytajmy szyld, który wisi nad bramą Stolicy Apostolskiej: „Tu mieszka ojciec *święty* i *nieomylny*, namiestnik Chrystusa, otoczony gronem kardynałów, niby apostoł, którzy, *niedostępni* nizkim żądzom, namiętnościom i ruchubom tego świata i zapatrzeni ciągle w tamten, *czczą, wielbią i bezgraniczną miłością* otaczają swego mistrza, zdejmując z jego ust natchnienia, które mu duch św. bezpośrednio zsyła. Wierzą mocno, że jest on *wybrańcem* Boga, że nawet natura *zawiesza dla niego swoje prawa*, ażeby przedłużyć jego byt ziemski po za granice, żywotowi ludzkiemu naznaczone.“

Teraz zobaczmy, co się dzieje wewnątrz tego przybytku najczystszych i najwznioślejszych uczuć.

Papież, według *Timesa*, już 2 marca był niebezpiecznie chory, musiał jednak nazajutrz wystąpić na uroczystości jubileuszowej w kościele św. Piotra, a najęci lub naiwni reporterzy rozgłosili, że twarz jego tryskała młodzieńczem zdrowiem i że dla wypoczynku po trudach ceremonii rzeźkim krokiem przebiegł ogrody watykańskie. Wszystko to było fałszem potrzebnym sekretarzowi stanu, kardynałowi Rampolli, który, wyzyskując niedołęztwo starca, samowładnie rządził kościołem i który po śmierci papieża schodzi na stanowisko swych 60 purpurowych towarzyszów z najmniejszą pomiędzy nimi nadzieją zdobycia tyary. Rozstanie się z wielką władzą jest zwykle dla jej posiadaczów chwilą smutku i rozpaczliwej obrony. Nie dziw też, że gdy Leon XIII w czerwcu zaniemógł zupełnie, jego „pierwszy minister zmonopolizował swego monarchę“ (takiego słownictwa używa się dziś na *dworze* namiestnika Chrystusowego) i nie dopuszczał doń nikogo, poleciwszy przybocznemu lekarzowi, ażeby ogłaszał uspakajające biuletyny. Gdy wszakże rozszerzona po Rzymie wieść, że papież umarł, a Rampolla ukrywa jego śmierć dla przedłużenia swych rządów i zyskania sobie popleczników w przyszłem konklawe, znalazła wiarę śród kardynałów, gdy nadto dwaj z nich, najenergiczniejsi i najbardziej z watykańskim wezyrem poważnieni, Oreglia i Gotti, zażądali stanowczo dopuszczenia ich do chorego — trzeba było ustąpić. Co zobaczyli, nie odpowiadało może przesadzie pewnego korespondenta, który zapewniał, że „ojciec św. skurczył się do rozmiarów siedmioletniego dziecka,“ ale przekonali się, że (według kardynała Macchi) „jest już tylko szkieletem,“ w którym tlą się słabo ostatnie iskry życia, że jego sławiona w telegramach „jasność ducha“ należy do bajek, że jego wzruszające mowy, głębokie aforyzmy, piękne wiersze, dowcipy, że wszystko to „ist Schwindel von A bis Z“ — jak się wyraził pewien poważny korespondent niemiecki. Właściwie (powiada on) w Leonie XIII od paru tygodni jedynem życiem jest jego gwałtowna chęć życia. Jak prawie wszyscy ludzie, długo przebywający na wyżynach władzy duchownej, wierzy on niezłomnie, że jest wysłannikiem nieba, że kościołowi grożą niebezpieczeństwa, od których tylko on może go ocalić, że Bóg nie chce jeszcze zwolnić swego sługi itd. Jak prawie wszyscy ludzie starzy, jest zabobonnym i czepia się wszelkich pajęczyn, które mu wróżą długie życie. Życzenie Wilhelma II, ażeby doczekał stu lat, wziął on za „proroctwo“ i czuł za to do niego wielką sympatyę; na swą również korzyść wytłomaczył ludową legendę, według której, kto dotknął kości św. Klary, nie umrze przed stu laty, gdyż jako arcybiskup Perugii przenosił te relikwie do innego kościoła. W swych przypuszczeniach posuwał się nawet dalej, bo gdy mu deputacya zakonnic życzyła stu lat życia, odrzekł: „Dlaczego chcecie stawiać kres woli Opatrzności?“

Rozumie się wszystko to nic nie pomaga, i natura, która dla nikogo „praw swoich nie zawiesza“ i nawet papieża traktuje jak każdego człowieka, postawiła już kres życiu Leona XIII. Wiedzą o tem bardzo dobrze kardynałowie, ale ta trucizna, która przegryza wszelkie uczucia, polityka, popycha ich nietylko do kłamstwa, ale nawet do okrucieństwa. Przypomnijcie sobie, czy kiedykolwiek czytaliście podobny stek sprzeczności i najoczywistszych fałszerstw, jak w telegramach o chorobie papieża? Jednocześnie „leży on w agonii“ i „dyktuje wiersze łacińskie,“ „szepcze tylko niezrozumiałe wyrazy“ i budzi w Rampolli podziw „bystrością i jasnością, z jaką na konferencyi z nim rozstrzyga ważne sprawy,“ pozostaje w „zupełnej apatyi“ i „wydobywa ze swej głowy myśli najpoważniejszej natury,“ nie „może ruszyć ani ręką,

---

M. C. Bielecki.

Wody kwitnące.

Z sennej, wiosłami głaskanej rzeki bije, bucha przez mokre opony wyparów skwar majowego południa — bezwonny, a jednak cudownie pachnący.

Wilgotna żrenica słońca o miękkich, promienistych rzęsach, coraz to mniejsza i coraz bardziej srebrna, spłókuje w sobie strumieniami łez gorących ostatnie skrzepy wschodniej krwawicy.

Przejął mię urok tych godzin najlepszych, gdy czuwanie staje się snem, zmysły zatracają odrębność, kojarzą się niepodzielnie w nadzmysłowem zawieszeniu wiedzy o rzeczach; kiedy to dusza blaskiem oddycha, zasłuchując się po przez pustkowia nieistniejących oddaleń w bezdzwięczny plusk słonecznej żywicy, co gorejącym prądem rozkładających się kół i smug włóknistych opływa chłodne jeszcze głębiny, waży się — rzekłbyś, na dno z mosiężnym brzękiem opadnie albo, jak eter, ulotni się za chwilę — tylko, że jest od wody lżejsza i cięższa nieskończenie od powietrza.

I stąd ta niemoc ruchliwa, zniewolenie możnej, przejasnej potęgi — i ten schorzały uśmiech duszy, zapatrzonej w niepoznawalność.

I taki smutek, jak gdyby się patrzyło ku weselnym łanom ziemi ojczystej przez wyżółkłe zapocone okna izby szpitalnej, z której się nigdy, nigdy nie wyjdzie w przecznice pól, karmionych najsłodszym miodem jasności, w seledynowy zmierzch, pluszczący łkaniem gędźby słowiczej i śpiewnym szeptem ros spadających.

I oto zjawia się męka, która najwyższej rozkoszy dorównać może, bo dusza w tem zawieszeniu przedziwnem tak bezpośrednio i nieświadomie obcuje z tajemnicami bytu, że zapomina o względnej wartości wrażeń i ma jedno tylko wrażenie: niesłychanego napięcia mocy stwarzającej, gdy radość i ból gubią się w niej i w sobie. Tak w żyznej glebie wypoczętych ugorów kiełkują ziarna.

Tkanki prężą się boleśnie, narywają nadmiarem soków plennych, pękają ściegna roślinne, aby obnażyć żywotny miąższ dla dopełnienia krzepiącego chrztu z wody, co w deszczach tętniące brózdy podnieca, — i chrztu z olejów świętych gęstego, balsamicznego blasku, którym słońce namaszcza pierwociny ziół i traw zbożowych. A co jest radością zbudzonego życia, co męką — któż zgadnie?

Wszystko jest męką rozkoszną i wzmagającą się w cierpieniu rozkoszą.

Oddałem się pogodnej topieli.

U brzegów odartych tu i owdzie z jedwabistego pokrowca murawy, podczas gdy pełnił się doroczny obrzęd wiosennych oczyszczeń i sine ostrza kry wcinały się, jak nóż ofiarny, w jędrne, wypukłe piersi spławnych łąk i w korę olch nadbrzeżnych, — ścielą się przede mną ciekłemi ławicami srebra i bursztynu połyskliwe perłowce nenufarów, konchy ciężarne, olśniewające dziwotwory głębiny!

Wsparły się na tęgich, oliwkowych pletwach, zdradzając ukryty niepokój pnączów i ssawek nabrzmiałych lepkim potem utrudzenia, prześlizgujących się ociężale po grząskich nierównościach dna ku zatopionym gralom żywego i życiodajnego światła. Wszystko ustępuje zadziwiającej przenikliwości wzroku.

Czyżby rozdarły się na poły w wielkiej świątyni Nieznanego Boga zasłony, ukrywające mistyczną skarbnicę cudów: cudotwórczą arkę przymierza, w której dusza na podobieństwo suchej, odciętej od rodzinnego krzewu gałęzi, zmartwychstaje, rozrasta się w obfite grona ognistego kwiecia?

ani nogą“ i „ściska kardynałów.“ Ale mniejsza o te sprzeczności; dowodzą one bowiem tylko, że najbliższe otoczenie chorego nie chce wypuścić na świat prawdy i woli, ażeby ją zastępowała fantazya plotkarska. Gorszym jest bezwstyd, targ, intrygi i kłótnie domniemanych spadkobierców wobec żywego jeszcze posiadacza, którego niby chcą uratować, któremu niby życzą zdrowia i który niby rozczula ich chwilowem odzyskiwaniem sił. Podczas gdy kardynałowie nakazują wszystkim wiernym modły za papieża i sprowadzają dlań „cudowną mitrę św. Januarego,“ wierząc naturalnie w skuteczność tych środków, zarazem robią jawne i żadną koniecznością pośpiechu nieusprawiedliwione przygotowania do obioru następcy. Ażeby czytelnikowi ułatwić sprawdzenie, nie odsyłam go do pism zagranicznych, lecz wypisuję wiadomości z przychodzącego tu *Kuryera Warszawskiego*:

6 lipca: „Kardynałowie wzruszeni (!) oblegają Watykan. Kwestya następstwa zajmuje już żywo wszystkie umysły. Najwięcej widoków mają Gotti, Svampa i Sarto.“

8 lipca: Papież jeszcze „wstawał i przechadzał się,“ a jednak „*architekci* Watykanu poczynili zarządzenia w sprawie konklawe. Kardynał Oreglia zajął już na trzeciem piętrze apartamenty, przeznaczone dla *tymczasowego* administratora Stolicy Apostolskiej... *Ceremoniał* ewentualnego konklawe będzie przez Oreglię zakomunikowany kardynałom na piśmie. Vives oświadcza się za wyborem Rampolli. W każdym razie przyszły papież będzie Włochem... Oreglia, zastępujący papieża w czasie interregnum, oświadczył, że nie zatwierdzi Rampolli na urzędzie sekretarza stanu.“

12 lipca: „*Polepszenie* w zdrowiu ojca św. trwa dzisiaj... Za najbardziej wysunięte dzisiaj na pierwszy plan *kandydatury* uważać należy itd ... Pomiędzy Rampollą a dr. Mazzonim przyszło podobno do ostrego przemówienia się, ponieważ Rampolla domagał się większego *optymizmu* w biuletynach.“

13 lipca: „Polepszenie w zdrowiu ojca św. postępuje... Zapowiedziano przyjazd na konklawe kardynała Gibbonsa... Wielu urzędników, zamieszkałych na pierwszem piętrze Watykanu, otrzymało polecenie usunięcia się, gdyż pokoje ich zamienione będą na cele kardynałów uczestniczących w konklawe.“

15 lipca: Papież ciągle żyje, a nawet „spędził noc względnie spokojnie.“ Mimo to „przybył lekarz niemiecki“ w celu porozumienia się z synowcem papieskim o balsamowanie.

I tak dalej.

Czy wy w tych intrygach, przygotowaniach do konklawe, przeróbkach gmachu, których łoskot dochodzi podobno do uszu umierającego, w tych układach o balsamowanie człowieka, który żyje, w całym tym targu i harmidrze dostrzegacie „łkających kardynałów“ i „szlochających czcicieli wielkiego pasterza“? Czy wy w tych scenach widzicie uroczystą powagę, szczery smutek, a choćby tylko zwyczajną przyzwoitość, która nie pozwala sprzedawać lub zabierać szat chorego, zanim on skonał? Czy wy w tym kotle wrzących interesów, rachub, ambicyj i namiętności, niemających nic wspólnego z religią, możecie rozpoznać najdrobniejszą kruszynę nauki Chrystusa?

Ja — nie. O ile mam współczucie dla pasującego się ze śmiercią starca, który nie umie zejść z tego świata z taką wyniosłą dumą, jak podobny mu w tych zapasach Ludwik XIV, ale miewa chwile stoicyzmu, o tyle wstręt we mnie budzi rzesza czerwieńców, czyhająca na ostatnie jego tchnienie i powtarzająca dość głośnym szeptem:

— Ten nas zawiódł... za długo żył. Przyszły papież musi być starszym i wątlejszym, abyśmy nie potrzebowali tyle lat czekać na nowy wybór.

To pragnienie brzmi w języku dyplomatycznym: „Najwięcej widoków zyskania tyary ma sędziwy kardynał Carpoceleto.“

Go—on.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na Węgrzech rozpadło się stronnictwo Kossutha, przeważnie z Niezawisłych r. 1848 i r. 1849 złożone: gorętsi idą pod nowy ster Beöthy'ego, Totha i onego Barabasza, chłodniejsi nie mają jeszcze dachu nad głową, żyją pod namiotem, wraz z samym Kossuthem. Dnia 12 b. m. Barabasz zasięgał rady swych wyborców w Wielkim Waraždynie. Stało się na tłumnem zebraniu, na placu publicznym. Przyszło do bójek, do starcia z policyą, wezwania wojska i ślepych strzałów w powietrze. W sejmie wyraźne hasło obstrukcyi, w imię armii narodowej; tymczasem wyjaśnianie żądań i ostre strzały w rząd. Żadne prawo uchwalonem nie będzie; projekty, dotyczące wojska, z góry pogrzebane. Tym sposobem stan *ex lex* musi się utrwalić i zniesie go dopiero odwrót rządu i odpędzenie Khuena od steru. Khuen zagroził już zlekka rozwiązaniem. Nawet Kossuth w dzisiejszym stanie „bez-prawa“ uważa je za niedopuszczalne. Franciszek Józef chyba się nie odważy iść na przebój. Austrya drży w swych posadach.

Na dalekim Wschodzie położenie bez zmiany: Mandżurya w rękach Rosyi; Japonia zbrojąca się a wewnętrzną walką rządu z sejmem szarpana, przesilenie gabinetowe, obcinanie budżetu marynarki, ograniczanie zbrojności w chwili, gdy potęgowanie jej jest najwyższym obowiązkiem. *Nowoje Wremia* stawia Japonii wróżbę opuszczenia przez sprzymierzoną Anglię, *Nowyj Kraj*, wydawany na krańcach lądu azyatyckiego, usiłuje zbić doniesienia o gromadzeniu wojsk: a na wołania japońskie o ustąpienie z Korei wskazuje Czemulpo, zajmowane przez Japończyków. Prawdopodobnie Anglia zdradzi Japonię, a zdradzona ulegnie. Stany Zjednoczone wytargowują port wolny dla świata — właściwie dla siebie. Anglia coś także wytarguje — i będzie pokój na dalekim Wschodzie.

Słynny kadet marynarki, Hüssener z Essen, skazany przez pierwszą instancyę wojskową na 3 lata, zamiast 6 żądanych przez audytoryat, w drugiej otrzymał zaszczytne odznaczenie. Zamiast kary za zabójstwo wymierzono mu karę za przekroczenie przepisów służbowych wobec zagrożonego życia ludzkiego, i skazano go tylko na dwa lata i tylko więzienie w twierdzy. Takie więzienie dla oficera jest zaszczytem: żyć może na własnym stole, zapijać szampana, przechadzać się swobodnie w obrębie wałów, przyjmować przyjaciół z miasta, sam nawet za pozwoleniem komendanta może miasto osobą swoją rozweselać i rozjaśniać. Wobec takiego wyroku budzi się ruch za rewizyą w najwyższym sądzie wojskowym rzeszy. Sofistyka półurzędowców czuwa już nad tem, aby się wyrok uprawomocnił.

Nikczemnego mordu dopuściła się ludność St. Delaware, niedaleko od granic st. New York, na murzynie. Dwa tysiące pięćset wypadków *lynchu* było w wielkiej rzeczypospolitej od r. 1882 do 1900. Walka z tem barbarzyństwem powinna była już dawno wejść na platformę któregokolwiek stronnictwa na północy; ale wobec *businessu*, *trustu*, intrygi politycznej cóż znaczy jakiś idealny interes su-

---

A zewsząd — z łąk przetykanych złotogłowiem błotnych irysów, jaskrów, strzelistej dziewanny i rozchodników przyziemnych, w pobliżu płytkich zagłębień, przepełnionych bladym rozczynem aquamariny, — wstęgami smółek karminowych i błękitnookiej cykoryi na wyższych miejscach, skąd wylew wiosenny wcześniej ustąpił; z metalicznie giętkich i błęszczących prętów wikliny, z zatok leśnych, gdzie dyszą niewyczerpane źródła wieczornej mgły i zmierzchu; z wiejskich sadów, utopionych w parnym obłoku zaognionej, rumianej białości; z pól, co rozchwiane srebrzystą pianą zaledwie wypływających kłosów, opryskują swawolnie plecione z chróstu tamy opłotków — zewsząd bije cichy a donośny głos oznajmienia:

że odnowiły się utajone związki duszy ludzkiej ze światem

że oto jest godzina wzruszeń, stwierdzających w niebie, na ziemi i na każdem miejscu obecność wszechobejmującej a niepojętej władzy kochania,

że z ziemi wzruszonej ogromnie i ogromnie miłującej wystąpiły krynice uzdrowienia dla oczu schorzałych przedwcześnie.

Prawdziwie, ilekroć wracałem stamtąd na udeptane ścieżki nizin, gdzie kwiatom najwynioślejszym kurz brudny przysypuje czoła i wżera się w plenniki przeczuwanego urodzaju — zawsze wracałem lepszy i mocniejszy, bo uzdrowiony.

I teraz właśnie święciłem taki powrót w uśpionej zadumie.

Zbudził mię suchy szelest rozsuwanych oczeretów.

Po białem dnie zwinnej łodzi rozbiegły się, giętkie, przesycone stalowym błękitem pręgi, niby tysiące kling damasceńskich na posrebrzanych blachach pancerza. Zagrały mi pieśń bohaterską o surmach walecznego żywota i o śmierci, która drzemie na pobojowiskach opuszczonych, gdzie zdobią olbrzymie mogiły tylko kierz nikczemny, blekot podniecający do szału żywcem pogrzebioną waleczność i ciemierzyca, zatruwająca się własnym oddechem, gdy zbrakło strzał, maczanych w jej odwarze.

I to jest moc, co z grobów rośnie i zatruwa się własnym oddechem!

I to jest wiosna!

Zerwał się krzyk nieludzki o ślizkich ostrzach zimnego, stalowego błysku nad przekrwionemi tętnicami, zbudzonych nagle pośród ciemności na bój ostatni i na ostatnie pognębienie, kiedy na wzgórzach pogasły wici smolne, zwiastując pokój, czy zdradę.

Zerwał się krzyk i uderzył w serce — płazem!

I znowu rzeka do snu się kołysze, pieści, otula przędzą złocistą o nieskończonym, wątku, który się snuje z zatopionej, zapomnianej kądzieli. Bo kwitną tam w szerokich przegubach łożyska nieprzebrane zagony lnu, tak rozległe, że tylko baśń, władczyni nieustannego wrzeciona wirów wodnych, umie je zmierzyć wszerz i wzdłuż czarującem spojrzeniem.

Ludowe podanie o „wodzie kwitnącej“ tem objaśnia zagadkowe lśnienie wiosennych rozlewisk, wobec którego nawet niebo bladnie w przepastnych głębokościach bez dna i bez powierzchni. Wiele innych rzeczy możnaby objaśnić w ten sposób, a między niemi i ten pociąg śmiertelny do chłonącego nurtu, któremu ulegają niektórzy ludzie, „bez pomiarkowania“ zapatrzeni w pochmurne zgliszcza marzeń — bezowocnych i niepłodnych. Milczy o tem ludowe podanie, bo są rzeczy do których ludziom nie wolno zbliżać się bezkarnie — conajwyżej można patrzeć zdaleka, a już najlepiej wcale nie patrzeć. Ogledność nigdy nie zawadzi, tembardziej że nikt siebie nie zna — i nie wie, z której strony przychodzi nieszczęście i nie wie, kiedy przyjdzie.

* *
*

Oblał mię chłód i cień rzęsisty.

Cisza.

Tylko brzęczące centki blasku cisną się przez szpary młodego listowia, jak pszczo-

mienia? Niema już dziś republikanizmu Jeffersona. Na obecną porę przypadło w Stanach Zjednoczonych takie mnóstwo bankructw i likwidacyj, że się niemi sam rząd zatrwożył.

Zgon papieża.

Dnia 20 b. m. o godzinie 4 po południu zmarł wyczerpany z sił wiekiem i długą chorobą Joachim Pecci, panujący na Stolicy Apostolskiej pod imieniem Leona XIII. Obszerny zarys jego życia i działalności, jaki niedawno zamieściliśmy z powodu 25-lecia jego rządów, uwalnia nas w tej chwili od obszerniejszego zastanawiania się nad postacią zmarłego. Zaznaczymy tylko, że na czyjejkolwiek głowie spocznie tyara, zmiana osoby u steru Kościoła katolickiego niewiele może wpłynąć na kierunek jego nawy. Papiestwo bowiem przestało już być jedynowładztwem i jest raczej monarchią konstytucyjną, w której wola Głowy jest mocno ograniczona wolą członków, w której papież pomimo całej swej nieomylności liczyć się musi ze stronnictwami śród kardynałów i swego otoczenia w Watykanie. Co najwyżej uwydatniać on może właściwości swego temperamentu i charakteru. Leon XIII był politykiem, oportunistą pojednawczym, wymijającym niebezpieczne skały i wiry, unikającym walk i rozdrażnień; jakim będzie jego następca, wkrótce zobaczymy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Chcę mówić o „Milusińskich.“ — Co mnie do tego skłoniło. — Jak wygląda dziatwa szkół płockich. — Ręce dzieci warszawskich. — Jak się bawią dzieci nad Drwęcą i w Zwoleniu. — Co myślą ludzie o szkołach w Opatowie, Pilicy lub Olkuszu. — Jak się zajmuje dziećmi prasa prowincyonalna.

Rachunki dzisiejsze poświęcić chcę naszym „Milusińskim.“

Stawiam kropkę i widzę już urocze spojrzenia czytelniczki, jak z wdzięcznością chce zwrócić się do mnie za przyjemną lekturę. „Milusińscy!“ — wszak to słowo całą poezyę w sobie mieści; przy wymawianiu jego mimowoli na myśl przychodzi pyzaty, rumiany aniołek z jasnymi jak len loczkami, rozkosznie szczebiocący, wesoły, taki milusi...

Lecz nie, nie będę dalej korzystał z niezasłużonej wdzięczności; nie ten obrazek wdzięczny mam na myśli, nie milutki wierszyk Gawalewicza będzie stanowił *motto* dzisiejszych moich „Milusińskich,“ lecz jedna krótka, najeżona nudnemi cyframi notatka *Rozwoju* łódzkiego.

Czytamy w niej:

Bardzo ciekawe badania przeprowadził pewien dozorca kolonij letnich, gdzie bawi 90 chłopców chrześciańskich. Badania te okazały, że w tej liczbie tylko 9 miało zęby zdrowe, 60 było takich, którzy ust nigdy nie płókali, ani zębów nie czyścili, 49 — którzy się nie kąpali, jak daleko pamięć ich sięga, 58 — od czasów niemowlęctwa nie miało mleka w ustach, a reszta dopiero na koloniach w roku zeszłym skosztowała tego napoju, 58 chłopców jadało mięso raz na tydzień lub rzadziej, 17— raz na miesiąc, 4 — zaledwie kilka razy rocznie. Za to — czytamy dalej — 49 pijało pół kieliszka wódki raz na tydzień, inni dostawali wódkę, ale rzadziej. Wreszcie — kończy pismo — chłopcy ci widzieli wciąż matki swe płaczące i słyszeli je narzekające, że „żyć ciężko.“

Tyle w *Rozwoju*. Z początku bynajmniej melodramatyzować tego nie chciałem — kolonie letnie, toć to wybierki z pośród być może największej biedoty, nie trzeba znów tak bardzo strasznych wyprowadzać stąd wniosków, poszukajmy cyfr ogólniejszych. Szukałem... i znalazłem.

Zbadałem — powiada dr. Themerson w referacie na zjeździe hygienistów — przeszło 1,000 dzieci szkół początkowych m. Płocka, w wieku od lat 5 do 16 i muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, iż może być tak źle.

U wielu dzieci prawie cała skóra pokryta plastrem brudu, na nogach szczególniej warstwa dochodzi do nieopisanej grubości, na kolanach, rękach, szyi, w uszach — brud, brud i brud. Reszta dzieci — to brudasy w mniejszym stopniu, zaledwie 10% czystych mógł referent naliczyć.

Koszule tej dziatwy — to łachmany, wiszące jak strzępy, brudne, upstrzone wszystkimi kolorami tęczy z przewagą żółtego, a u 40% roją się niebywałe ilością robactwa; gnidy są na porządku dziennym. Od roju zoologicznego nie są też wolne spodnie, kamizelki, bluzy, chustki na szyi i palto-ty. Pchły harcują swobodnie, a wypasione czerwone pasorzyty, znajdowane we włosach dzieci, zdumiewały wprost referenta swym ogromem i dobrobytem.

No, to w Płocku i na partykularzu, w Warszawie, w sercu kraju, ognisku cywilizacyi tego napewno niema, myślałem sobie i z ciekawością wczytałem się w drugi referat o czystości rąk dziatwy szkolnej w Warszawie.

Dowiedziałem się, iż dr. Tchórznicki, po zwiedzeniu 95 warszawskich szkół ludowych i obejrzeniu 5,437 dzieci płci obojej, tak samo — trzeba dodać — jak i dr. Themerson w Płocku, bez różnicy wyznania, znalazł, że 78,2% ogółu miał ręce brudne a ledwie 21,84% mniej więcej czyste lub zawalane tylko atramentem. Chusteczek do nosa używało 52,8% badanych, a ledwie 26% miało je mniej lub więcej czyste. Szkoda, że dr. Tchórznicki nie badał czystości dzieci wogóle, ale według rąk możemy śmiało sądzić o reszcie. Kto uważa czystość rąk za przesąd lub zbytek, ten na pewno nie kąpie się często.

Tak rzecz się przedstawia w większych miastach, gdzie mamy kąpiele ludowe, gdzie kultura, bądź co bądź, coraz szersze zakreśla kręgi. Nie mamy danych cyfrowych o tem, jak dzieje się po mniejszych miasteczkach i po wsiach, omawiane jednak w *Prawdzie* w roku zeszłym rezultaty oględzin rekrutów ze wsi naprowadzają na myśli więcej pesymistyczne, niż optymistyczne.

Za to mogę czytelnikowi dać kilka obrazków, jak się w tych miejscowościach dzieci bawią, jakie rozrywki urozmaicają im dzieciństwo „sielskie, anielskie i promieniem wspomnień później rozjaśniać“ będą życie pełne trudów i znojów.

W Zwoleniu — jak donosi korespondent *Gazety Radomskiej* — zły wpływ wywiera na dzieci system łapania psów przez miejscowego czyściciela, pełniącego swoje czynności w południe w otoczeniu chmary dzieciaków, hałasujących radośnie z powodu doznawanych wzruszeń. Zbyt mało kulturalne, ażeby urządzać na poczekaniu zakłady, jak to się dzieje w Anglii, lub też choćby totalizatora, dzieciaki dostosowały jednak do swych pojęć obserwowane zjawisko i lubią bardzo bawić się „w hycla,“

ły, grające pieśń weselną podczas miodobrania.

Biegają po oczach — budzą!

Łódź otarła się zlekka o brzeg urwisty, wpadła w bujniejsze kłęby porostów, rzuciła się popędliwie i wraz ze mną uległa przemocy.

Zdało mi się, że wróciłem do siebie po długiej, tajemniczej rozłące i że byłem w pobliżu tych miejsc, z których nigdy się nie wraca.

Zdało mi się, że wróciłem na szczęście, na radość podczas cudownego porównania ziemi z niebem w objęciu słonecznych przesileń, kiedy to wzgórza, sklepione patyną darni, rozstępują się z głuchym łoskotem pierwszego gromu na wiosnę i biały koń równego bogom pieśniarza i bojownika czasów zamierzchłych wybiega w świat, prując powietrze tęczowym wytryskiem skrzydeł, mdlejących z upojenia i jeszcze niezdolnych do lotu.

Biały koń stracił tu pana — pieśniarza i bojownika — i raz do roku powraca na dawne zwietrzałe ślady, biega od morza do morza, rżeniem porusza kurhany, w jary zapada milczące, a nie znajduje Witola. Bo Witol zeszedł do ludzi, gdy mu odjęto rumaka, umarł, jak ludzie — z tęsknoty... Za czem tęskniłeś Witolu? Koń został w ciemnej kontynie, kontyna w ziemię przepadła, a Witol pierścień zaklęty, klucz do tajemnych podziemi, oddał za dobrą gościnę, i nie doczekał już wiosny. Powrócił koń bielusieńki, złoconych kopyt błyskaniem siecze mogilne ugory i nozdrza do krwi rozszerza, i bucha srebrnym obłokiem, i zrzuca pianę srebrzystą, z piersi stworzonych do lotu.

Gdzie stąpi — bielą się kwiaty: sny pogrzebane Witola...

Gdzie stąpi — szemrzą ruczaje: zgubione pieśni Witola —

I skry na polnym kamieniu, co kiedyś pono był sercem!

Wtem usłyszałem mowę polnych kamieni, które dają świadectwo prawdzie, gdy żywy głos zastyga w niemocy spóźnionego pogrobowca pieśniarzy i bojowników.

I usłyszałem śpiew wody kwitnącej, pociągający w głąb nieprzepartem objęciem lubieżnego korowodu topielic.

Więc czepiam się oburącz twardej krawędzi osypiska, zaciskam kurczowo palce na korzeniach wierzby płaczącej tuż nade mną, o litość błagam, o zmiłowanie, o jedną myśl zbawienną. Cisnę do czoła, do ust spieczonych wątłe, pachnące gałązki, niby dłonie kochanki, umiłowane nadewszystko za ciszy dreszcz rozkoszny, spływający w duszę tak właśnie, jak spływają duże, ciepłe, szczerozłote krople letniego dżdżu w pożądliwe i spękane od pożądliwości wargi stepowych rozłogów. I oto pochyliła się nade mną grająca uśmiechem twarz tej mojej wietrznicy najsłodszej. Bo i wierzba była w swoim czasie wietrznicą. A kiedy bóstwa zazdrosne zaklęły ją w pień drzewny, stała się w ludowych wierzeniach świętym symbolem życia i miłości do ziemi. Ze wszystkich drzew najwcześniej pęka na wiosnę i jeszcze daleko do Kwietnej Niedzieli, kiedy to ludzie pobożni idą na spotkanie Odrodzicielа Matki Zielnej — Marzanny z jasno-zielonymi pękami wierzbiny, a już po jarach i na wygonach leśnych rozwlekle łkają fujarki. A później taka wierzba niczego się nie lęka — bawi się z burzą, nieszkodliwie upaja się wyziewem wiosennych mokradli i coraz piękniej wyzłaca liściaste ramiona w pełgających ogniach posuchy. Opamiętałem się zupełnie. To wierzba rzuciła na mnie urok miłości, promieniejącej na wszystko i zewsząd odbierającej promienie: z dwojga oczu czarujących uśmiechem, z tysiąca oczu napełnionych łzami i krwią niedoli, z każdego drzewa i z każdego źdźbła trawy najlichszej; z nieba i ziemi. Byłem, jak ten, co idąc wzdłuż jednego strumienia znalazł się u źródła, skąd wszystkie strumienie początek biorą.

* * *

(D. n.).

łowiąc na zaimprowizowane stryki psiaki i koty. Jednego kota, widocznie „cwaniaka,“ co się długo nie dawał, „kilku chłopców powiesiło, zamordowawszy w najokropniejszy sposób!“

O wiele więcej pokojowe usposobienie przejawia dziatwa wiejska w Rypińskiem, gdzie, jak do *Ech Płockich i Łomżyńskich* pisze Józef z nad Drwęcy, ulubioną rozrywkę dziatwy stanowi babranie się w rowach przydrożnych, wśród nieczystości, spływających tam z chlewów i zaimprowizowanych ustępów wiejskich.

Tak bawi się dziatwa w różnych okolicach kraju, tam, dokąd nie doszło jeszcze wielkomiejskie „spaczenie“ zdrowych pojęć naturalnych, gdzie ludzie żyją patryarchalnie, poczciwie i gdzie dotąd podobno panuje jeszcze nastrój więcej idyliczny. Jak się bawią dzieci w mieście, ja nie wiem, wiem tylko, że mały bardzo ich procent znajduje się w ochronkach, mniejszy— w ogródkach froeblowskich, a najmniejszy ma dostęp do ogrodów Raua; wiem także, że bardzo duży procent małoletnich znajdziemy wśród prostytutek, większy—wśród nożowników, a największy — wśród złodziei kieszonkowych.

Tak się przedstawia u nas dziecko na progu XX wieku, tego stulecia, któremu już miano „stulecia dziecka“ nadają, i w którem Ellen Key wróży przyjście raju na ziemię, raju sprowadzonego właśnie przez to dziecko, w zamian za dokładne zrozumienie jego duszy, za odczucie jego potrzeb subtelnych i za umiejętne kierownictwo jego postępowaniem. Dajcie dziecku możność rozwoju! — woła szwedzka myślicielka- poetka — przestańcie je gwałtem wciskać w szufladki, na których wypisano abstrakcye: „grzeczny,“ „cnotliwy,“ „porządny“! Niechby wreszcie wychowawcy uznali, iż największa tajemnica dobrego wychowania polega na tem, że się wcale dziecka nie wychowuje!

Tak, dajcie dziecku możność rozwoju, dajcie mu umiejętnych wychowawców, rozumiejących i odczuwających jego duszyczkę-mimozę, lecz wspomnijcie czasem również i o tem, że są gdzieś na świecie takie dzieci, co zamiast kołysanki matczynej słyszą płacz jej i narzekanie, że „ciężko żyć,“ co jedzą mięso „raz na miesiąc i rzadziej,“ co „mleka od niemowlęctwa w ustach nie mają,“ których 40% toczy rojące się robactwo i które bawią się wyławianiem kamyków z nieczystości, lub mordowaniem kotów! Wspomnijcie o tem, że podczas gdy wychowywane przez was dziecko będzie marzyło o zbudowaniu szczęścia sobie i swemu otoczeniu, tamte dzieci będą zasilać szeregi prostytutek, nożowników i złodziei kieszonkowych. O tem pomyślcie w wolnej chwili, wielcy myśliciele pedagogii!

A co też społeczeństwo nasze myśli o dzieciach swoich?

W Opatowie — jak donosi *Gazeta Radomska* — 200 dzieci lata całe dusi się w ciemnym i pod każdym względem nieodpowiednim domu prywatnym, wynajętym i leżącym prawie po za obrębem miasta, choć w kasie miejskiej fundusze są pokaźne, nie setki, lecz tysiące rubli liczące. W Pilicy i Olkuszu — czytamy w *Gazecie Kieleckiej* — istniejące tam zakłady prywatne zamykają rok deficytem, pomimo że okolica jest ludna, a praca nauczycielek uczciwa, dochodząca do poświęcenia. Szkopułem, o który rozbija się powodzenie szkoły, jest opłata, wynosząca aż... 3 rb. miesięcznie. Tak myślą o szkołach.

Bez echa przebrzmiał krótki, krwią serdeczną pisany artykulik jednego z pism codziennych o nieszczęsnych „szpitalnikach“ warszawskich na wsi. Pisma katolickie były zbyt zajęte podawaniem nadzwyczaj rzewnych obrazków: „ostatni dzień w klasztorze,“ „ostatnia modlitwa,“ „Na zawsze“ itd.

Zapomnieliśmy również już o strasznych słowach Konopnickiej, śmiało zapytującej, czy w nas niema winy, że słonka Jaś nie doczekał? Głucho o koloniach letnich w prasie, a jeżeli głos jaki się odezwie, to mimowoli śmiech pusty porywa. „Trzecie miasto Królestwa — Sosnowiec — jak donosi *Kuryer Sosnowiecki* — ze swoją blizko stutysięczną ludnością, zdobyło się ledwie na wysłanie 35 słabowitych dzieci na kolonie. O innych miastach głucho zupełnie. Nie wiemy nawet, czy po za Łodzią i kilkoma miastami gubernialnemi ludzie mają gdziekolwiek pojęcie o tem, że są jakieś kolonie letnie...

Smutno!

Nadeszło lato, okres wakacyj; można byłoby przypuścić, że w prasie prowincyonalnej znajdziemy masę artykułów, tyczących się młodzieży i dzieci; tymczasem cóż? *Gazeta Radomska, Echa Płockie* i *Kuryer Sosnowiecki* dały króciutkie, okolicznościowe wzmianki z racyi wakacyj; w *Gońcu Łódzkim* znaleźliśmy rady, co robić na willegiaturze, pośrednio tylko tyczące się młodzieży. *Gazeta Kaliska* jedynie dała szereg artykułów, tyczących się hygieny wychowawczej. A po za tem milczenie, tak jakby nas nie stać było na jakiego Multatulego, coby wielkim głosem przypominał, że dzieciom naszym dzieje się krzywda. Jawańczycy widać byli szczęśliwsi od naszych „Milusińskich.“

Tyle chciałem powiedzieć o „Milusińskich.“

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Klęska powodzi. — Posiedzenie krakowskiej rady miejskiej. — Bezsilność opozycyi mieszczańskiej. — Zjazd delegatów Kółek rolniczych. — Sprawa komasacyi. — Włościańskie straże ogniowe. — Inne sprawy.

Iznowu straszna klęska nawiedziła Galicyę zachodnią, dając się we znaki przedewszystkiem Krakowowi i jego najbliższym okolicom. Po całotygodniowej ulewie Wisła i jej dopływy zachodnie wezbrały z taką gwałtownością, że olbrzymi szmat ziemi nagle stanął pod wodą, która zabrała lub zniszczyła doszczętnie zboża i sianokosy tysięcy gospodarstw włościańskich. Nędza i głód — ci stali towarzysze ludności galicyjskiej — grożą zachodniej połaci kraju spotęgowaną klęską, po której trzeba będzie lat całych, aby jako tako się podreperować. Co prawda powodzie w okolicach Krakowa są zjawiskiem bardzo częstem, ale powódź tegoroczna przybrała takie rozmiary, że da się porównać chyba tylko z powodzią 1813 r. Tylko wówczas ucierpiał sam Kraków w takiej mierze, jak obecnie, kiedy znaczna część miasta niespodzianie znalazła się pod wodą. I tu się znowu pokazało całe niedołęztwo czynników, powołanych do zapobiegania klęsce lub bodaj łagodzeniu jej objawów.

Wystarczy powiedzieć, że miasto, położone nad rzeką, stale grożącą wylewami, nie ma ani jednej łodzi ratunkowej i zdane jest w zupełności na łaskę i niełaskę rybaków, którzy przedewszystkiom ratują własny dobytek. Gmina krakowska nie posiada wcale furgonów do przewożenia ludzi i sprzętów z miejsc zagrożonych. Policyantów na ulicach, które mogły być przedewszystkiem zalane, nie było ani na lekarstwo. Starostwa, tak krakowskie, jak i podgórskie, nie uczyniły żadnych przygotowań do powodzi, która nie była niespodzianką. O zapobiegliwości władz wojskowych najlepiej to świadczy, że woda zabrała w nocy pontony wraz z urządzeniami, niczem niezabezpieczone. To też przedmieścia Krakowa i wsi okoliczne były zupełnie pozbawione ratunku. Zaskoczeni przez powódź mieszkańcy Dębnik, Zakrzówka, Płaszowa, Grzegórzek itd., schronili się na dachy, błagając o pomoc, której nie było. W bardzo wielu domach, odciętych od wszelkich środków komunikacyi, ludzie siedzieli od świtu do nocy, pozbawieni kęsa chleba.

Na posiedzeniu Rady miejskiej Krakowa posypały się skargi bolesne na to wszystko i nawet stańczycy musieli przyznać racyę mówcom opozycyjnym — Daszyńskiemu, Rotterowi i innym i głosowali za ostremi rezolucyami Daszyńskiego i Benisa. Z mów, wypowiedzianych na tem posiedzeniu, szczególniej się wyróżniała Daszyńskiego, który zajął stanowisko prawdziwie obywatelskie. Mówił on: Klęska powodzi i jej rezultaty oznaczają dla kraju powiększenie nędzy, obniżenie stopy życiowej ludu, równające się uwstecznieniu naszej ludności i kraju. Wdzięcznem uchem słuchałem wywodów pana wiceprezydenta, ale one mnie nie zadowoliły: może na krześle prezydyalnem obowiązuje pewna grzeczność wobec czynników, które zawiniły, więc ja poczuwam się do obowiązku ostrzejszego wystąpienia, nie ze stanowiska partyjnego, bo należy potępić zarówno wyzyskiwanie takiej katastrofy dla celów politycznych, jak wmawianie w ludność, że to dopust boży za grzechy. Więc nie chcę tej klęski wyzyskiwać partyjnie, lecz chcę powiedzieć to tylko, co już dzisiaj wszyscy głośno mówią, mianowicie, że klęska była przewidziana. Od lat dwudziestu wiemy, że rzeki nasze są dzikie, że Wisła, zaniedbana przez rząd austryacki, jest klęską dla miasta i kraju. Dla innych, bogatych prowincyj rząd miał pieniądze na regulacyę rzek. Dla Tyrolu, gdzie niema ziemi pszennej, dał przeszło 100 milionów koron, za które uregulowano tam w ciągu lat sześciu wszystkie rzeki. Należy zaznaczyć zasadniczo wobec opinii kraju, że przynajmniej mamy świadomość tego potwornego stanu, iż jeden kraj traktuje się po macoszemu, uważa za własność zdobytą, wyciska z niej podatek, a za to pozwala się niszczyć jego lasy, nie reguluje się jego rzek. Plany regulacyi Wisły już ćwierć stulecia wędrują nieustannie ze Lwowa do Wiednia i z powrotem. Rząd nie powinien się ograniczyć na żebraczem rzuceniu zapomogi kilkudziesięciu tysięcy z naszych pieniędzy podatkowych, trzeba go zmusić, by zrobił przynajmniej użytek z kredytów już uchwalonych. Przed dwoma laty parlament przecież wyznaczył 75 milionów na regulacyę rzek w Galicyi. Nie wystarczy jednak ogólny protest. Sam p. wiceprezydent stwierdził, że akcya ratunkowa była niedostateczna i wykazała, że Kraków był zupełnie nieprzygotowany. Mówi się wiele o niedbalstwie władz autonomicznych — władze rządowe, biurokratyczne okazały się jeszcze niedołężniejszemi. Słyszeliśmy dużo krzyku, widzieliśmy dużo opieki tam, gdzie jej nie potrzeba, a bardzo mało tam, gdzie była potrzebna. Władze nie uwiadomiły na czas ludności, a podczas akcyi ratunkowej zachowały się w najwyższym stopniu niedołężnie. Pozwolono na to, że jakiś wojskowy amator-fotograf zabrał łódź pontonową, by robić zdjęcia fotograficzne, podczas gdy ludzie z zalanego Zakrzówka daremnie błagali o łódź. A to rozwożenie bochenków chleba jest wprost symbolem niedołęztwa władz. Do Zakrzówka zawieziono 18 bochenków chleba! Prasa powinna jak najenergiczniej wystąpić przeciwko tego rodzaju „pomocy.“ Na torze kolejowym spędziły noc setki rodzin, którym woda zabrała mieszkania, śpiąc na ostrych kamieniach — o kilkaset kroków od centrum miasta.

W końcu Daszyński przedłożył ostrą rezolucyę, wyrażającą głębokie współczucie ofiarom powodzi i domagającą się od rzą-

-du, aby pospieszył bezzwłocznie z pomocą pieniężną, z dostawą środków żywności i z zaczęciem robót publicznych dla dotkniętych powodzią części kraju, oraz aby rozpoczął regulacyę Wisły i jej dopływów celem niedopuszczenia w przyszłości do podobnych klęsk żywiołowych.

Istotnie, rozpoczęcie robót publicznych może w pewnej mierze osłabić skutki klęski. Samo przeniesienie koryta Rudawy, gdyby się do tego szybko zabrano, mogłoby zatrudnić wiele rąk. Projekt trzeciego mostu na Wiśle już gotów, tylko biurokratyczny sposób prowadzenia spraw stoi na przeszkodzie rozpoczęciu robót. Od tego, czy zostaną one przedsięwzięte w najbliższym czasie, zależy los tysięcy rodzin.

Jakie są przyczyny ostatniej powodzi? Nie ulega wątpliwości, że główną jest straszne zaniedbanie koryta i brzegów Wisły około Krakowa. Kiedy na zabezpieczenie Wiednia i Pragi wydano setki milionów koron, Kraków i jego okolica nie mogą obronić się od większych wylewów. U góry Wisły przeprowadzono jej obwałowanie i zwężenie koryta, u dołu, za Krakowem, zrobiono to samo i w ten sposób skazano właśnie Kraków i okolicę na zalewy coroczne. Prawie dwadzieścia lat minęło od strasznej powodzi 1884 r., a jednak tak lwowska jak wiedeńska reprezentacya kraju nic nie zrobiły, aby zapobiedz takiemu nieszczęściu, jak tegoroczne. Z tych memoryałów, planów i petycyj w sprawie regulacyi rzek galicyjskich, jakie ugrzęzły w ministeryach i innych dekasteryach rządowych, możnaby utworzyć całą bibliotekę, a rezultat jest nędzny nad wszelki wyraz. Obecnie nawet konserwatyści w Radzie miejskiej piorunują na rząd i uchwalają rezolucye nadzwyczaj ostre, a jednak od kogóż, jak nie od nich, zależało zmuszenie rządu do wykonania tego, co kraj uważa za najpilniejsze? Słusznie mówi *Nowa Reforma*, że rząd — to konserwatyści, że oni mają w ręku ster rządu krajowego, oni kierują polityką Koła polskiego i sejmu, oni bezpośrednio stykają się z rządem, oni udzielają rządowi i dynastyi poparcia, oni za rząd odpowiadają. I słusznie powiedział reprezentant *N. Reformy*, poseł Rotter w Radzie miejskiej, że ze wszystkich zachodów Koła polskiego i sejmu nic nam nie przyjdzie, dopóki te czynniki zamiast w glansowanych rękawiczkach nie staną przed rządem... z kułakiem. Słuszne to wszystko, a jednak pp. Roter, Doboszyński, właściciel *N. Reformy* i inni posłowie, przyznający się do jej zasad — należą do Koła polskiego i pełnią tam gorliwie funkcye lokajskie. Odpowiedzialność więc za gospodarkę stańczykowską, tak zgubną dla kraju, spada w równej mierze i na nich. I na tem polega właśnie tragizm galicyjskiej opozycyi liberalnej, że widzi ona całą nędzę polityki stańczykowskiej w kraju i w Wiedniu, a jednak z Koła polskiego wystąpić i stanąć przed rządem „z kułakiem“ nie mogą, bo nie mają się na kim oprzeć, bo są w polityce zerami, zależnemi najczęściej od różnych instytucyj finansowych, znajdujących się w ręku stańczyków, albo od poparcia komitetu centralnego do rozbojów wyborczych.

Tegoroczny zjazd delegatów Towarzystwa Kółek rolniczych odbył się w Jaśle, dokąd przybyło oprócz 150 delegatów Kółek, mnóstwo włościan z bliższych i dalszych stron kraju. Zjazd zajmował się całym szeregiem spraw, nader żywotnych dla gospodarstw włościańskich. Pierwszego dnia zjazdu został wygłoszony referat o komasacyi gruntów, a więc o jednej z najdonioślejszych kwestyj życia ekonomicznego włościan. Referent wyłożył znaczenie komasacyi, jej korzyści i warunki oraz wyraził nadzieję, że Kółka rolnicze będą się starały pouczać lud na zebraniach o korzyściach komasacyi. Na zakończenie przedłożył rezolucyę, w której rada ogólna wzywa Kółka rolnicze, by się zajęły sprawą komasacyi jak najżywiej. W dyskusyi zaznaczyła się różnica zdań. Jeden z mówców uznawał komasacyę za rzecz wprawdzie bardzo doniosłą, ale niemożliwą do przeprowadzenia w stosunkach obecnych, ponieważ grunta posiadają rozmaitą glebę, są rozmaicie uprawiane, zresztą lud jest przeciwny komasacyi. Inny znów mówca uważał tę sprawę za przedwczesną. Zdaniem jego Kółka rolnicze powinny postarać się poprzednio o ustawę, zakazującą dzielenia gruntów, a przynajmniej oznaczającą *minimum* posiadłości, gdyż w przeciwnym razie, po ewentualnej komasacyi grunta zostana znowu rozdrobnione wskutek podziałów. Większość jednakże stanęła na innem stanowisku, dowodząc, że przy dalszem rozdrabnianiu gruntów wszelka gospodarka będzie niemożliwa, jak to już nawet gdzieindziej się stało. A co do konserwatyzmu włościan, to pamiętamy przecież czasy, kiedy włościaństwo było przeciwne szkole, a jednak opór ten został przełamany. To samo należy uczynić z konserwatyzmem, sprzeciwiającym się niezbędnej komasacyi.

Po trwającej kilka godzin dyskusyi powzięto znaczną większością głosów rezolucyę, zaproponowaną przez referenta.

Na drugiem posiedzeniu zajęto się sprawą formowania po wsiach ochotniczych straży ogniowych, któremi kierowałby krajowy związek straży ochotniczych. W dyskusyi podnoszono korzyści, jakie organizacya oddziałów straży ogniowej przyniesie włościaństwu. Praca ta będzie nietylko obowiązkiem, ale i rozrywką dla ludu. Życie wiejskie jest monotonne, gimnastyka więc urozmaici je, a przedewszystkiem odciągnie młodzież od karczmy. Rezolucyę, proponowaną przez referenta, przyjęto życzliwie, chodziło tylko o to, skąd wziąć pieniędzy na kupno narzędzi. Jedni żądali, aby przyczyniły się do tego wydziały powiatowe i Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, inni—ażeby to uczynił rząd i gminy.

Na trzeciem posiedzeniu omówiono sprawę nawozów sztucznych, przyczem uchwalono wniosek, aby zarząd główny Towarzystwa kółek rolniczych wniósł petycyę do rządu o zniżenie cen kainitu. Po odczycie o mleczarstwie uchwalono, aby zarząd główny Towarzystwa kółek rolniczych objął w zawiadywanie sprawę mleczarstwa i za pomocą Kółek zakładał mleczarnie oraz praktyczny kurs mleczarstwa w porozumieniu z Towarzystwem rolniczem, postarał się o specyalny fundusz na ten cel i w *Przewodniku kółek rolniczych* otworzył osobny dział o mleczarstwie. W końcu włożono na lustratorów Kółek rolniczych obowiązek pouczania członków o chowie bydła, poprawie łąk i pastwisk, o należytem utrzymaniu stajni, o obchodzeniu się z mlekiem i badania, gdzie można założyć spółkę mleczarską.

Daleki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Warszawa jako pogotowie ratunkowe.

Przez tydzień woda wylewała się ze wszystkich łożysk rzecznych, niszcząc pola i budynki, zabierając mienie biedaków, nad którymi ona zwykle najbardziej się pastwi. Klęska jest wyjątkowo wielka, a jej szczerby nieprędko będą wyrównane. Co u nas w takich wypadkach robią ci, którzy samorzutnie ujmują ster działalności ratunkowej? Naprzód siadają na łodzie i pływają po zalewie, oglądając jego groźne widoki, które z wykrzyknikami opisują, a nawet fotografują. „Panie są w jasnych toaletach — jak powiada sprawozdawca *Wieku* — a panowie mają dobry humor.“ Naturalnie objeżdżając zatopione domy, w których ludność na strychach z bydłem w trwodze, głodzie i chłodzie oczekuje zmiłowania boskiego i ludzkiego, ci zwolennicy sportu powodziowego nie niosą nieszczęśliwym żadnej pomocy i poprzestają na „słowach pociechy.“ Zakrystyan dzwoni na mszę, ale sam na nią nie daje. Następnie leci do gazet stado żałośnie piszczących czajek — korespondencyj, opisów i odezw do... „miłosiernego serca Warszawy.“ Ten tylko adres nasuwa się orędownikom wszelkich przedsięwzięć filantropijnych. Warszawa opłaca wpisy niezamożnej młodzieży, daje zapomogi pogorzelcom, tworzy stypendya, zakłada szpitale, przytułki i szkoły, z których cały kraj korzysta, więc ona także powinna wyrównać swą ofiarnością okropne skutki powodzi. Nie mamy nic przeciwko temu, żeby i Warszawa przyjęła udział w tym ratunku, ale dlaczego nie ma on być również obowiązkiem ziemian, księży, przemysłowców, kupców, lekarzy, prawników, urzędników kraju? Rozpostarcie kwesty po całym jego obszarze nietylko ulży Warszawie zbyt wypompowywanej jałmużnictwem, ale przyniesie obfitsze zasiłki nieszczęśliwym. A zważyć przytem trzeba, że nawet tak rozszerzone źródło datków nie zapełni otchłani szkód, jaką wytworzyły zalewy. Czy sądzimy, że kilkomilionową klęskę pokryją ruble i kopiejki, składane w redakcyach pism i komitetach ratunkowych? Byłaby to naiwność. I dlatego jeżeli chcemy poważnie zmierzyć się z tą wielką niedolą a nie poprzestać na opisywaniu jej i fotografowaniu z nadzieją, że Warszawa i z tą biedą się załatwi, powinniśmy ruszyć środki zaradcze, które istotnie odpowiadają jej rozmiarom. Takie środki posiada w swych olbrzymich a bezczynnie leżących oszczędnościach Towarzystwo kredytowe ziemskie. Już raz zużytkowano je na cele publiczne. Teraz nadarza się sposobność przeznaczenia tych martwych milionów częścią na obwarowanie rzek, a częścią na ratowanie powodzian. Ci, do których to należy, winni podjąć starania. Nadarza im się doskonała sposobność podwójnego ratunku: wielkiego kapitału od zmarnienia i wielkiej masy ludzi od nędzy.

Flotylla filantropijna.

Niezwykły wylew wód spowodował także wezbranie serc naszych. Pomoc, pomoc w jakikolwiek sposób biedakom! W Krakowie wykwintne damy chodzą poprostu z talerzykami po ulicach i zbierają na powodzian. W pismach warszawskich pojawia się wymowna notatka: „Zarząd parostatków Fajansa zorganizował szereg wycieczek do miejsc zagrożonych, aby dać możność naszym paniom niesienia doraźnej pomocy nieszczęśliwym. Statki wyruszają o godzinie 7-ej wieczorem a wracają o godzinie 9-ej.“

Powiadam sobie: jadę. Jadę do tych miejsc zagrożonych razem z owemi naszemi paniami popatrzeć i opisać, jak one będą niosły doraźną pomoc owym nieszczęśliwym.

Przybywam do przystani późno. Za mostem widać już w oddaleniu dwa brunatne pióropusze dymu. Dwa statki odjechały; trzeci gotuje się do wodnego odlotu. Pogoda wspaniała.

Fale Wisły, jak kłębiące się piaski pustyni. W górze grzmi Warszawa turkotem, życiem, dążeniem. Sygnał. Ruszamy.

Kilka ślicznych panienek obok mnie. Opowiadają sobie jakąś historyę miłosną o wielce romantycznem zabarwieniu. Naprzeciw on, ona i mama. Poznać odrazu. Ale ona pieści chłopaczka i ładuje w niego landrynki, a on jej mówi „pani.“ Przy bufecie już rozpoczęła się gospodarka w najlepsze. Panowie połykają zakąski i piją piwo.

Most. Służba pochyla dymnicę i ledwo prześlizgujemy się pod żelaznem rusztowaniem. Na pomoście towarzystwo uzbrojone w lunety studyuje krajobraz. Słońce pali się jak miedź, a na żółtych wodach pełno różowych refleksów.

Na pokładzie wesoło. Przyjemnie i wesoło. Gdyby nie szlachetna misya, możnaby mniemać, że majówka, albo co...

Prawda, szlachetna misya. Oglądam się dokoła. Wyobraziłem sobie, że pokład będzie zastawiony koszami z jadłem, że będą stały damy z woreczkami napełnionemi monetą, że będzie jednem słowem ów uroczysto - jałmużniczy nastrój. Nie, niema tego nastroju. Owszem, wszędzie wesoło swobodnie a jeżeli jest jaki nastrój, to chyba motylkowy.

Potężne wody leją się niesłychaną szerokością. Niebo uśmiecha się pogodą i weselem. Po lewej stacya kolei wązkotorowej zalana. Wtem statek robi woltę. Wjeżdżamy w łachę wiślaną. Tu przypomina mi się lektura lat młodzieńczych „Puszcza wodna w lesie.“ Istotnie możnaby śród drzew pływać łódką. Przed nami olbrzymie jezioro rozlane po polach. Tam, gdzie niedawno krążyły dorożki, statek nasz pędzi swobodnie. Wzdłuż brzegów domki zalane, łodzie rozbite, galary łazienkowe. Gromady obdartych powodzian z brzegów, z łódek i galarów wygrażają nam. Czego oni od nas chcą?

„Psie krwie złodzieje, tyle pieniędzy od ludzi zagarnąć!“

Czy to do nas czy do Fajansa?

Fajans w Warszawie, a my — studyujemy krajobraz. To jest — nie wszyscy. Do owych panienek przyłączył się jakiś młody człowiek; robi się epizod salonowo-wycieczkowy. Mama z naprzeciwka zajmuje się chłopczykiem, a on i ona sobą. Bufet rozszerza się na trzy czwarte pokładu. Statek okala zgrabnym łukiem „puszczę wodną w lesie“ i wypływa znowu na szerokie wody Wisły. Warszawa huczy w oddaleniu jakąś symfonię. Słońce zanurza się w złoty opar i błyszczy niby olbrzymi rubin. Niebo budzi tęsknoty nieokreślone do jakichś wzlotów.

Statek lekko się kołysze, rozkołysały się także umysły, rozkołysały serca, rozkołysał się bufet. Owa misya szlachetna gdzieś podziała się, niema jej, niema do tego stopnia, że aż mnie zdumienie ogarnia, iż ją zapowiadano.

Słońce znika w tumanie. Wieczorny mrok pada na wody, które teraz poczynają jaśnieć i przybierać ton szklisty. Dokoła wody, wody, na polach, łąkach, na szczęściu i dobytku ludzkim, wody, wody, a nam na statku ta poezya rozkołysała imaginacyę, płyniemy, pijemy, jemy, motylkujemy marzymy... Rzeczywistość się pomału w świat przemienia — tylko nie ideału! Ale czego?... Ach, szkoda, że jest to „ideału“, bo możnaby sobie teraz to właśnie deklamować...

Z szarych wód wynurza się Wilanów. Drzewa wyciągają ku nam z pod wód gałęziste ręce, ach, tak tajemnicze! Wody pluszczę, szemrzą. Wjeżdżamy tam, gdzie przed dwoma tygodniami pastuch Konopnickiej wołał sobie nietroskliwie: „Rozlegajże mi się po lesie...“

Świstawka. W oddaleniu mija nas parowiec. Pełno na nim ludzi „szlachetnej misyi.“ Wesoło, gwar, śmiech. Przepłynął jak letnie widmo szczęścia i zadowolenia. Druga świstawka. Przepływa drugi statek. Kipi publicznością, która „do zagrożonych miejsc...“

Prawda, gdzież owe zagrożone miejsca? Gdzie owi nieszczęśliwi? Gdzie ów bolesny sztafaż pięknego krajobrazu? Hej, kapitanie, dokąd nas zawiozłeś?

Dwa brunatne warkocze dymu rozplotły się po niebie. Nasz statek robi zgrabną woltę i wraca, rozwijając po zmroczonem niebie warkocz trzeci.

Świeży powiew krzepi dusze. Warszawa ćmi się jak czarna sylwetka na seledynowem niebie. Już gwiazdy wypływają i mienią się jak złote ćwieki. Statek pędzi, jak ptak, bijąc kołami po wodach.

Naprzeciwko mama z chłopczykiem usnęła, on i ona mówią do siebie już tylko spojrzeniami. Patrzę w lewo: wszędzie on i ona, on i ona, on i ona..

Fajans odgadł tajniki dusz ludzkich! Szlachetna misya! Wieczór coraz piękniejszy, Warszawa pokrywa się nocną suknią swoją, całą kaskadą gazowych brylantów, niebo uśmiecha się, jak rozmarzony kochanek, a statek, zacny przedsiebiorca, daje jeszcze jedną złudę, złudę filantropijną...

Owych zagrożonych miejsc było pełno, ale na pokładzie. Szlachetnej misyi było także dużo, ale w próbach różnych skojarzeń. Gwarliwe wody szumiały ponętnie, niebo się uśmiechało, flotylla filantropijna dała obraz bardzo poetyczny... Tylko zapomnieć nie mogę dwóch obdartusów, wygrażających nam ze wszystkich stron, i brzmią mi ciągle owe chrapliwe krzyki:

— Psie krwie, złodzieje, tyle pieniędzy wycyganić od ludzi, tyle pieniędzy...

Ach, to była flotylla flirtów, parostatkowych podwieczorków, podjazdów zalotnych pod hasłem „wyprawy do miejsc zagrożonych celem niesienia doraźnej pomocy“ jakimś nienapotkanym lub w żegludze ominiętym powodzianom!

Ex est.

W zimnych murach bazyliki, której budowa przyczyniła się do burzy reformacyjnej, spoczną zwłoki wielkiego dyplomaty w szatach pontyfikalnych. Skruszony został pierścień rybacki Leona XIII. Papież ten przechodzi już do historyi, gdzie zajmie miejsce obok Lotara Metternicha i Ottona Bismarcka. Urzędowy żal po nim już się rozpoczął. W tym urzędowym żalu jest z natury rzeczy więcej urzędowości, niż żalu. Jeżeli bowiem Leon X wywołał wielką reformacyę, to Leon XIII wywołał na pewno wielki indyferentyzm. Nie próbował on, jak ów jego poprzednik, ogłaszać krucyat, ani też nie pozostawił, jak tamten, skarbca papieskiego w stanie opłakanym. Pod jego ćwierćwiekowymi rządami umilkły walki religijne kuryi rzymskiej, przygasła żarliwość katolicka, zakwitł w całej pełni oportunizm. Duch katolicki przestał ulatywać w sfery niebiańskie i myślał tylko o swej doczesności. Encykliki i listy pasterskie Leona XIII, to zbiór uroczystych komunałów, do których nie zakradło się ani jedno żywsze słowo. Encyklikom i listom tym nie przyświecało „lumen de coelo,“ ale ujęte w klosz subtelnej dyplomacyi „lumen de terra.“ Cokolwiek postanowiła wszechglobowa polityka, Leon XIII skwapliwie uznawał, choćby to stało w rażącej sprzeczności z kardynalnemi zasadami etyki Chrystusowej, jak np. prawo zemsty. Tak, Leon XIII pozwolił Wilhelmowi II mścić się krwawo na Chińczykach za zamordowanie posła niemieckiego i katolickich misyonarzy. Był on najklasyczniejszym przedstawicielem „polityki interesów.“ Cóż nas wiązało z tym politykiem? Odpowiedź krótka: historya. Dusza? Nie, historya. Serce? Nie, historya. Religia? Nie, historya. Religia, wykładana przez Leona XIII, a raczej przez niego komentowana, bardzo odbiegła od niezrównanego pierwowzoru Tego, który nigdy nie politykował i nigdy się nie mścił. Sercem Leon XIII nigdy się nie kierował. Dusza była dla niego aksyomatem teologicznym, a dla potrzeb jej wskazywał jedynie refugium zagrobowe. Na całej pracy swojej wycisnął piętno doczesności. Posiadał też całą potęgę, jaką może dać konwenansowe pojmowanie swego zadania, jako teologa. Pod nim katolicyzm stał się ugodowym, nawskroś kosmopolitycznym, przystosowywał się do otoczenia. Strona jego zewnętrzna urosła tedy w tym samym stosunku, w jakim skarlała jego strona wewnętrzna. Chrystus dał Łazarzom wiekopomne kazanie na górze, poczynające się od słów „Błogosławieni, którzy“... Leon XIII, rzekomy jego naśladowca, dał Łazarzom banalną encyklikę, rozpoczynającą się od słów „Rerum novarum.“ Prometeizm polski dawno i bez trudu zerwał z treścią papiestwa, a tu i owdzie wyzwolił się nawet i z formy; resztę uczynić może tylko historya. Na to godzą się wszystkie nasze pisma postępowe, gdyż z okazyi ostatnich wypadków wypowiedziały się mniej więcej w tym sensie. Gdy watykański camerlengo ogłosi *urbi et orbi „habemus papam,“* nastanie jedno z dwojga: albo dalsza praca nad dziełem Leona XIII, albo całkowite jej zburzenie. *Tertium non datur.* Ale zdaje się że żaden kardynał nie odważy się uderzyć dłonią w to, co zbudował Leon XIII. Gmach jego zapewnia życie wygodne, ciągłą możliwość przystosowania się i dyplomatyczną gotowość na przyjęcie wszystkich zagadek, mogących się wychylić z tajemniczego łona przyszłości. Dawniej świat płynął za nawą papiestwa; dziś nawa papiestwa płynie wygodnie za światem. Polityczny egoizm, przebiegłość dyplomatyczna i oportunizm religijny, oto trzy obręcze koronne tyary, która przypadnie w puściznie następcy Leona XIII. Demokratyzacya społeczna, objaw wszechświatowy, skutkiem czego niższe warstwy wszędzie prawie ważą na szalach opinii, to także czynnik zewnętrznej potęgi papiestwa, choć czynnik przemijający. Niższe warstwy uznają go bezkrytycznie, bo jeszcze nie doszły do tego punktu rozwojowego, w którym następuje rozłam. Ale demokratyzacya może w ciągu kilku pokoleń zmienić swój charakter i dojść do owego punktu. A wtedy? Wtedy zapełnione konwenansami encykliki nie wystarczą, wtedy trzeba będzie wygłosić słowa wyraźne, wtedy trzeba będzie wypowiedzieć się jasno. Z góry można przypuścić, że kurya rzymska zapragnie posterować nawą w kierunku większości, Ale zachodzi pytanie: czy będzie mogła? Czy nie przestanie być sobą, jeśli to uczyni? Czy pozostanie czynnikiem wpływowym, jeśli tego nie uczyni? Czy nie uwiędnie jej władza bez względu na to, co uczyni? Czy świat nie pójdzie jakąś taką drogą, na której rzymski papież nie będzie mógł nawet wzrokiem go dogonić? Oto szereg pytań, jakie sobie dziś stawia prometeizm polski, gdyż prometeizm wszechświatowy na większość tych pytań... już sobie odpowiedział.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYPUSZCZALNE
przyczyny epoki lodowej.

II.

W jaki sposób jednak przy takiej zawartości kwasu węglanego mogło rozwinąć się tak bogate życie zwierzęce, tak wielkie i liczne zwierzęta ssące,

jak w trzeciorzędzie, to rzecz niezmiernie zagadkowa.

Profesor de Marchi zamiast kwasu węglanego operuje parą wodną.

Przytacza on mianowicie dla porównania stosunki temperatury na Marsie, oddalonym półtora raza dalej od słońca, niż ziemia. Promienie słońca więc mogą tę planetę ogrzewać prawie dwa razy słabiej, niż ziemię i gdyby można było tę ostatnią umieścić w położeniu Marsa bez zmiany innych obecnych stosunków, to wszystka woda zmieniłaby się na niej w lód, wszelkie życie uległoby zniszczeniu.

„Na Marsie jednak — mówi de Marchi— nie ma to bynajmniej miejsca. W prawdzie w zimie nagromadza się tam na biegunach wiele śniegów i lodów, które sięgają dalej ku równikowi, ale ciepłe lato zmienia napowrót to wszystko w powódź. Cały Mars aż do biegunów może być pokryty w lecie roślinnością, jak ziemia w trzeciorzędzie. W jaki sposób jednak jest to możliwe przy daleko mniejszej ilości ciepła, wysyłanego Marsowi przez słońce? — W ten, że atmosfera Marsa jest o wiele przezroczystsza, wolniejsza od pary wodnej, niż atmosfera ziemska. Mars posiada klimat podobny do klimatu górskiego na ziemi: w dzień ciągła jasność słoneczna i wysoka temperatura, w nocy silne promieniowanie gruntu w przeźroczystą atmosferę, więc nizka temperatura.“

Tutaj więc spotykamy się z twierdzeniem: im czystsza i uboższa w parę atmosfera, tem korzystniejsze warunki klimatyczne, a to z powodu silniejszego ogrzewania przez promienie słońca w dzień, a pomimo silniejszej utraty ciepła w nocy — twierdzenie więc wprost przeciwne wyżej przytoczonej hipotezie Probsta, który przyczynę ciepła upatrywał we wzmożeniu wilgoci, zachmurzeniu.

Ponieważ zaś wywiązywanie się wielkiej ilości pary jest skutkiem długich i potężnych wybuchów wulkanicznych, więc de Marchi, który w obfitości pary upatruje przyczynę zimna, wyjaśnia oziębienie się klimatu i epokę lodową wzmożonym wulkanizmem epoki trzeciorzędowej.

Trzeba jednak zauważyć, iż astronomowie nie dowiedli jeszcze, że owe białe płaty dokoła biegunów Marsa są śniegami i lodami a, podobne do wielkich kanałów, wielkie, zmienne pasy są wodą. Daleko prawdopodobniejszem jest, że wielkie płaty, jak również „kanały,“ które przed naszemi oczyma powstają, zmieniają się i znikają, są nagromadzeniami kwasu węglanego, który, zgęszczony wskutek zimna, opada na powierzchnię, a następnie, wskutek silnego promieniowania słonecznego, rozrzedza się i staje niewidzialnym.

Pasy kanałowe mogą powstawać wskutek tego, iż te zgęszczone gazy nagromadzają się w dolinowych zagłębieniach. Na Marsie możemy przypuścić podobne, równolegle biegnące, fałdy, jak na ziemi: w dolinach między fałdowymi grzbietami gromadzą się ciężkie gazy, zasłonięte od promieni słonecznych cieniami gór, zgęszczają się; następnie zmiana kierunku promieni słonecznych i ciepłe prądy powietrzne mogą łatwo wpływać na zmiany tego zgęszczenia, a stąd zmiany szerokości kanałów.

Jeżeli de Marchi podnosi, iż atmosfera Marsa jest przezroczysta, bezchmurna, każe się to domyślać nizkiej przeciętnie temperatury, gdyby bowiem w lecie wielkie masy śniegu i lodu zostały zamienione w wodę, to musiałoby nastąpić też silne ulatnianie i atmosfera obfitowałaby w wilgoć, podobnie jak na ziemi.

Wreszcie do hipotez tellurycznych należy także świeżo przez Kreichgauera *) postawiona hipoteza wędrówki skorupy ziemskiej — jej ślizgania się po płynnem (lub gazowem) jądrze: wskutek takiego ślizgania się (wywołanego przez siłę odśrodkową) wynika ciągła zmiana szerokości geograficznej wszystkich punktów (bez zmiany kierunku osi ziemskiej w przestrzeni) z wyjątkiem jedynie dwóch punktów, będących końcami osi, około której wiruje, ślizgająca się skorupa. Zmiana szerokości geograficznej łatwo objaśnia epoki lodowe: gdy dana okolica skorupy ziemskiej zbliża się do bieguna, ulega ona zlodowaceniu.

Hipotezy, szukające dla wyjaśnienia epoki lodowej i wogóle—zmian klimatu, przyczyn kosmicznych, dadzą się podzielić na dwa rodzaje: jedne upatrują tę przyczynę w zmianach samego źródła ciepła, słońca; drugie — w zmianach położenia ziemi względem słońca.

Do pierwszych należy hipoteza E. Dubois'a. Słońce mianowicie, oziębiając się, przechodziło różne stadya: gwiazdy białej, żółtej i czerwonej. W pierwszem stadyum słońce znajdowało się do początku epoki trzeciorzędowej i przez ten czas panował na całej ziemi klimat mniej więcej jednakowy, z temperaturą wysoką. W drugie stadyum słońce przeszło na początku trzeciorzędu, klimat zaczął się ochładzać i różniczkować, zbliżając się do obecnego. Na początku epoki czwartorzędowej zaczęły się szybkie zmiany w stanie słońca: zaczęło ono przechodzić w stadyum trzecie, czerwone, to znów powracać do żółtego; chwile przejścia w stadyum czerwone odpowiadają peryodom lodowym; chwile powrotu do żółtego — peryodom interglacyalnym. W takim peryodzie interglacyalnym żyjemy obecnie. Te wahania będą się jeszcze długo powtarzały, następnie słońce przejdzie stale w stadyum czerwone, aby wreszcie całkowicie zagasnąć. Będzie to „początek końca.“ Hipotezę tę rozwinął w szczegółach Wojejkow **).

Hipotezy drugiego rodzaju ***) przypisują przyczynę zmian klimatu zmianom pochyłości ekliptyki, zmianom mimośrodu drogi ziemskiej, wraszcie zmianom długości pór roku, tak iż raz północna, raz południowa półkula ma półrocze letnie krótsze, a zimowe dłuższe.

1) *Zmiany pochyłości ekliptyki*, tj. zmiany kąta, jaki równik tworzy z płaszczyzną drogi ziemskiej (płaszczyzną ekliptyki) są nieznaczne; wahają się w granicach paru stopni w jedną lub drugą stronę około średniego położenia $23^1/_2{}^0$: według Laplace'a krańcowe wartości tego kąta wynoszą 22^0 6' i 24^0 50'; inni otrzymali wartości niewiele różne.

Otóż przyrostowi pochyłości ekliptyki odpowiada ubytek ciepła na równiku a przyrost na biegunach, a więc ujednostajnienie klimatu na ziemi; ubytek pochyłości ekliptyki prowadzi za sobą naturalnie skutki przeciwne. Zmiany temperatury, wywołane tą przyczyną, są jednak drobne.

2) *Zmiany mimośrodu drogi ziemskiej* sprowadzają nieznaczne tylko zmiany w ilości ciepła, otrzymywanego przez ziemię. Ale za to znaczny jest wpływ wielkiego mimośrodu na różnicę ciepła otrzymywanego przez ziemię w punkcie odsłonecznym (aphelium) i przysłonecznym (perihelium): podczas gdy obecnie natężenie promieni słonecznych w perihelium jest tylko o $^1/_{15}$ większe, niż w aphelium, to przy mimośrodzie maksymalnym różnica ta wzrasta do $^1/_3$. Dla tej półkuli, która ma wówczas zimę w perihelium, różnica pór roku będzie znacznie złagodzona, albowiem w zimie nizkie stanowisko słońca nad poziomem będzie w części skompensowane przez większe zbliżenie ziemi do słońca; w lecie zaś mimo wysokiego stanowiska słońca promienie jego nie będą zbyt silnie dogrzewać, gdyż ziemia jest wtedy w znacznem oddaleniu od słońca Na drugiej półkuli, której zima przypada w aphelium, różnica pór roku ulegnie zaostrzeniu.

I tego wpływu nie należy jednak zbytnio przeceniać: warunki fizyczne mogą zupełnie zatrzeć ten wpływ klimatu matematycznego, słonecznego. I tak np. przy obecnym dość znacznym mimośrodzie półkula północna, mająca zimę w perihelium, powinnaby z powyższych względów teoretycznych mieć klimat łagodny, morski, południowa zaś półkula — ostry, kontynentalny; tymczasem w rzeczywistości jest odwrotnie. Można więc twierdzić, że nawet przy maksymalnym mimośrodzie klimatyczne różnice, faktycznie dziś istniejące między obu półkulami, nie zmieniłyby się zasadniczo, tylkoby nieco osłabły (w razie zimy północnej półkuli w perihelium) lub zaostrzyły się (w razie zimy północnej półkuli w aphelium). Niejednakowy rozkład lądów i wód obu półkul jest czynnikiem potężniejszym, niż zmiany mimośrodu.

3) *Zmiany długości pór roku.* Wielki mimośród prowadzi za sobą jednak jeszcze inny ważny skutek: wielką różnicę między długością półrocza zimowego i letniego. Przez półrocze zimowe, albo krótko — zimę, rozumiemy ten czas, w ciągu którego słońce dla danej półkuli znajduje się po drugiej stronie równika (na drugiej półkuli); przez półrocze zaś letnie, albo krócej— lato, rozumiemy ten czas w ciągu którego słońce dla danej półkuli znajduje się po tej stronie równika (na tej samej półkuli). Są to więc czasy pomiędzy jednym i drugim punktem porównania (gdy słońce znajduje się na samym równiku).

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

*) Kreichgauer: „Die Aequatorfrage in der Geologie,“ 1902.

**) Ob. Petermann's Mitteilungen, 1895.

***) Ob. J. Hunn: „Handbuch der Klimatologie.“ t. I, 1897.

NOTATKI NAUKOWE.

— Alfred Fouillé: *Esquisse psychologique des peuples européens.* Paris. 1903. Alcan. „Bibliothèque de philosophie contemporaine.“

Autor nazywa pracę swoją „Szkicem psychologicznym“ i w istocie nie jest to analiza oparta na metodzie naukowej, a jedynie zestawienie i objaśnienie różnych obserwacyi, poczerpniętych bądź z innych autorów, bądź też z wrażeń osobistych. Materyał jest obfity, zgrupowany i zużytkowany w sposób interesujący, w wyborze jego jednak znać wielką dowolność. Ze względu na zbyt obszerny zakres dzieła, nie mogło ono odpowiedzieć wymaganiom nauki, autor popada ustawicznie w nader szorokie, należycie nie udowodnione syntezy, powtarza przestarzałe i szablonowe spostrzeżenia o wielu zbyt mało sobie znanych narodach, wreszcie formułuje prawa społeczne nader wątpliwej wartości. Zdaje się, że patrzył na ludy jako psycholog, krytyk literacki i filozof, a nie badacz socyolog. Zbija na każdym kroku materyalistyczna teoryę Marxa, a natomiast stara się dowieść, że czynniki moralne i społeczne coraz większą odgrywają rolę. Krytykuje pretensye doktryn antropologicznych i ekonomicznych, dowodząc z wielką słusznością, że forma czaszki nie może być dostatecznem objaśnieniem organizacyi produkcyi, ale sam stawia równie hypotetyczną teoryę istnienia zbiorowej chęci życia (vouloir-vivre collectif) oraz idei— siły (idée force), która prowadzi naród. Fouillée twierdzi, że to zbiorowe pragnienie życia istnieje wyraźnie u wielu narodów, ale zapomina, że wyraz naród nie jest pojęciem ściśle określonem, inne ma znaczenie w XX, a inne w VI wieku. Tymczasem mówi w taki sam sposób o narodzie greckim w IV w. przed Chr., jak o narodzie greckim w XIX w. Tę zbiorową chęć życia możnaby nazwać świadomością narodową, a czyż możemy sobie wyobrazić świadomość bez organizmu, którego ona nie jest wyrazem? Jak opisać świadomość pewnego społeczeństwa, nie przedstawiwszy jego mor-

fologii co do danej epoki? Owa chęć zbiorowa życia, owa świadomość ma pewną siłę i pewien charakter zależny bardziej od stopnia cywilizacyi danego narodu, aniżeli od jego rozmiarów terytoryalnych. Tymczasem Fouillée zatrzymuje się długo nad Rosyą (str. 395 do 454), a po kilka stronic zaledwie poświęca Szwajcaryi, Holandyi, Belgii i krajom Skandynawskim. Wprawdzie Grecya dostarcza mu obfitego materyału dzięki swej sławie w przeszłości, ale czyż tradycya może odgrywać tak wielką rolę w studyach społecznych? Czyż naród nie zawdzięcza swego stanowiska ogólnym warunkom bytu, a nie przeszłości choćby najwspanialszej? Naród młody, ruchliwy, rozwijający się szybko na wszystkich polach działalności ludzkiej, przedstawia bogatszy materyał dla socyologa, niż naród stary ale zapleśniały w swych tradycyach.

Narody słowiańskie nie cieszą się względami Fouillée'go, mówi o nich, że pomimo swej liczebnej potęgi wydały mało geniuszów, a ci ostatni nie przyczynili się do ogólnego postępu ludzkości, nawet Rosya nie ma ani swego filozofa, ani swego historyka. Ten fakt tem objaśnia, że w chwili obecnej zużywa ona wszystkie swe siły na przyswajanie zdobyczy Europy zachodniej, spodziewa się przeto, że w niedalekiej przyszłości zbudzi się w niej siła twórcza. *Z.*

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Bolesław Gorczyński: *W noc lipcową*, sztuka w 3-ch aktach, nagrodzona na konkursie im. H. Sienkiewicza.

Czytałem przed kilku laty w *Bibliotece Warszawskiej*, a następnie w zbiorze osobnym, prześliczną nowelę Maryi Konopnickiej p. t. „Krysta.“ Bohaterka jej, żona młodego gospodarza, którego wzięto do wojska, mimo obietnic i przysiąg, nie dotrzymała wiary mężowi swojemu i dręczy się tem straszliwie. Antka swojego kochała szalenie, ale teraz, gdy w chacie zjawił się owoc chwilowego związku z parobkiem Pawłem, wolałaby, aby już wcale nie wracał. Przypuszczając, że umarł może, bo przez dwa lata nie dawał znaku życia, niesie za duszę jego ofiarę, gdy wtem spotyka jednego z towarzyszów „Jantochny,“ który jego powrót zapowiada. Więc z sercem rozdartem idzie na spotkanie męża aż hen ku mostom, by choć raz jeszcze w życiu zobaczyć go i sprawić mu radość swym widokiem. „Niech co chce będzie! Niech się co chce dzieje! Niech on choć jedną dobrą godzinę ma! Niechże on choć raz, choć raziczek dobrem sercem przytuli ją do siebie! Niechże on choć przez tyla, co ten jeden pacierz, rad i szczęśliw będzie, że się do dom wrócił! Niechże on, chudziak, choć ździebło radości ma! Niechże mu jeszcze ten świat zapachnie kwiatem... aby raz... aby raziczek jeszcze!..“

A po przywitaniu serdecznem i godzinie wspólnej drogi z mężem, gdy Antek we drzwi izby wchodził, Krysta przeleciała ogród, przeleciała łączkę, aż kiedy zalśniła przed nią wielka, wezbrana, z głuchym hukiem tocząca się woda, zmrużyła oczy, stuliła ramiona i, schwyciwszy się oburącz za głowę, bez krzyku skoczyła na głębię... Bo, jak rozmyślała przed spotkaniem jeszcze, chyba to już po ziemi chodzi taka moc... Taka ślepa, ślepa moc... ślepa taka i stara taka... gdzie starsza od wsi całej i od wszystkich ludzi! Co sobie ziemia kwiatuszków napleni, co sobie radości podhoduje, co gniazd naściele, to ta moc wszystko zdusi. I co sobie ludzkie serce dobra i wesela nasieje, co zakwitnie kochaniem, jak ta płonka kwiatem, zaraz ona się zamachnie i zdusi. Taka moc jest, taka ślepa moc!

Ta właśnie ślepa i okrutna moc, starsza od wsi całej i od wszystkich ludzi, burzy i druzgocze bezlitośnie w świeżo wystawionym dramacie p. Bolesława Gorczyńskiego p. t. „W noc lipcową,“ szczęście parobka dworskiego, Ignacego Sworzenia, i jego żony, Jagny. Oba utwory pokrewne są pod względem treści, gdyż Sworzeń również po kilkoletnim pobycie w wojsku zastaje w izbie kołyskę, ale środek ciężkości leży tutaj w duszy mężczyzny, nie kobiety. Wprawdzie i Jagna p. Gorczyńskiego nie biegała na tańce, nie wystawała za węgłami; jak przysięgła, tak chciała żyć, opędzała się, dokąd mogła, zalotnikom, ale w końcu nie mogła, nie mogła. Przyjechał do wsi młody dziedzic, rozprawiał dużo o pracy nad ludem i lud ten — chciał poznać bliżej. Dorodna żołnierka wpadła mu prędko w oko, wyga-ekonom ułatwia drogę, a cudne noce letnie ze światłem miesiąca, wonią świeżo skoszonego siana i kwiecia lipowego, ze wspomnieniami pierwszych „zmowin“ i kochania pierwszego — zwyciężyły prędko opór wszelki ze strony spragnionej pieszczot kobiety, którą natura sama pcha w objęcia młodego pana. Podobnie jak u Konopnickiej, nie miłość odgrywa tu rolę, lecz instynkt raczej, ta ślepa, nieprzeparta moc, czyhająca wciąż na człowieka, by w chwili zapomnienia i słabości uderzyć na niego z całą swą żywiołową potęgą. Ale Jagna, starsza i doświadczeńsza, a przytem dużo mniej wrażliwa i subtelna od Krysty, nie tak dramatycznie, jak ona, zapatruje się na sprawę całą, przechylając się raczej w uczuciach swych i poglądach ku rezygnacyi, z jaką o zdarzeniu jej mówią sąsiadki, z jaką i matka Krysty powtarzała: „Nie za nas się to zaczęło, nie za nas się skończy. Jeszcze takiej żołnierki we wsi nie było, coby utrwała. Jużci, że źle, że — grzech. A co robić? Ochfiarować Panu Jezusowi i już!“ Krysta jest naturą wyjątkową, nieprzystosowaną do ciężkich warunków życia i ginącą przy zetknięciu z nimi. Jagna to typ, daleko częściej spotykany dotąd wśród ludu, zdrowy, żywotny, niedający się złamać nieszczęściu, usiłujący w każdem zdarzeniu wynaleźć jeszcze jakąś furtkę do wyjścia.

Przełomowym momentem dramatu jest akt drugi: pierwsze spotkanie Sworzenia z żoną wobec malutkiego świadka w kołysce, który przybył na świat w czasie jego czteroletniej nieobecności. Autor miał zadanie trudne, ale wyszedł z niego zwycięzko, uniknąwszy szczęśliwie akcentów melodramatycznych, w które w takich razach wpaść łatwo, a uwydatniwszy natomiast doskonale zasadnicze rysy obu ścierających się natur: energię, przebiegłość i praktyczność Jagny, wybuchową gwałtowność w połączeniu z wrodzoną dobrocią i łagodnością Sworzenia. Jagna, uprzedzona o blizkiem przybyciu męża, umie całą scenę przygotować wybornie. Więc izbę wymiotła i ozdobiła, zdrożonemu i głodnemu mężowi przygotowała smaczny posiłek, kilkoletniego synka, którego ojciec zostawił niemowlęciem, wymyła i ubrała pięknie, a umieściwszy nieco na boku kołyskę z nowym nabytkiem, klęknęła ze starszem dzieckiem do pacierza — o szczęśliwy powrót ojca... Tak ich zastaje Sworzeń, którego w drodze już doszły głuche wieści o przeniewierstwie żony. W pierwszej chwili daje się on w zupełności opanować wzruszeniu, a to w dalszym ciągu ułatwia Jagnie zwycięztwo. Nie broni się, nie tłomaczy, lecz z płaczem wyznaje mu swą winę, gdy ta ukrywać się już dłużej nie dała; gotowa ponieść od męża karę najcięższą, byle już tej odrobiny nie krzywdził, co śpi tam niewinna na boku. Więc Ignac nietylko rzuca polano, które porwał już na widok kołyski, ale nawet — po niejakim czasie — zgadza się wyprawić sute chrzciny „córce“ i uznać ją dla porządku za dziecko własne.

Ale robak w jego duszy nie daje się uśpić ani zalać wódką, w której go utopić próbuje. Gdyby przynajmniej wiedział, kto jest sprawcą jego krzywdy, gdyby mógł jemu kości pogruchotać, uspokoiłby tem zapewne wzburzenie wewnętrzne, które mu spokoju nie daje. Jagna jednak milczy uparcie, nie chcąc za nic wskazać wspólwinnego; dręcząca zagadka nie daje Ignacowi spokoju; nad izbą ich zawisła katastrofa, choć Jagna jej nie przewiduje. Przyspiesza nieszczęście uroczysty obchód chrzcin, podczas których do uszu napółpijanego Sworzenia dochodzą po raz pierwszy złośliwe uwagi sąsiadów. Porywa więc dziecko z kołyski, przy której został sam jeden, biegnie z niem nieprzytomny prawie i rzuca gdzieś na kamienie. Nie chciał wcale zabić dziewczyny. Śmierć była tutaj przypadkiem. Chciał tylko, jak wyznaje potem wobec wzburzonej gromady, odsunąć od siebie tę sromotę, która go za gardło dusiła.

Końcowa scena z dziedzicem, szastającym się w dwóch ostatnich aktach niepotrzebnie koło mieszkania Sworzeniów, nie stoi na poziomie artystycznym utworu, i wogóle cała ta postać właściwego sprawcy nieszczęścia nakreślona została blado i powierzchownie, bez śladu pogłębienia psychologicznego. Ten pan Maroński z całem swem otoczeniem, nie wyłączając ekonoma Piwnickiego, to nie żywe postacie lub sylwetki, lecz papierowi ludzie, szablony i manekiny, z jakimi byłby już czas najwyższy zerwać zupełnie w utworach literackich. Mają oni reprezentować stronę satyryczną dramatu, ale tem bardziej właśnie powinni drgać życiem i prawdą, bez których ostrze ironii tępieje, a satyra zmienia się w szopkę o dawno ogranych melodyach, nie mogących dziś już na nikim wywrzeć silniejszego wrażenia.

Lepiej naogół poradził sobie autor z drugorzędnemi postaciami świata chłopskiego. Wprawdzie i ten jego pijak kowal z nader honorliwą małżonką, dumny z urzędu sołtys, łatwo zresztą dający się wciągnąć do zabawiającej się kieliszkiem kompanii, karbowy, stróż dworski, kumotra itp., aż do głupiego Antka, przypominającego trochę Uroka z opery Paderewskiego, są to w gruncie rzeczy również sylwetki szablonowe, jakie na setki moglibyśmy liczyć w powieściach, komedyach i melodramatach ludowych, ale one przynajmniej nie rażą tutaj, będąc tylko w utworze p. Gorczyńskiego czemś w rodzaju dekoracyj, na których tle rozgrywa się dramat właściwy między Sworzeniem a jego żoną. Psychologia zaś tych dwóch głównych postaci nie pozostawia nic do życzenia. I to właśnie, łącznie z naturalnym dosyć rozwojem akcyi, oraz szczyptą poezyi w pierwszej rozmowie Jagny z dziedzicem i w paru innych miejscach utworu pozwala spodziewać się, że zachęcony nagrodą konkursową autor osiągnie w przyszłych dziełach swoich na stałe ten stopień artyzmu i zrównoważenia, do którego w pierwszym swym poważniejszym dramacie zbliżał się wielokrotnie z powodzeniem.

Dwie główne role sztuki p. Gorczyńskiego znalazły u nas wykonawców doskonałych w osobach pani Przybyłko i p. Nowickiego. Oboje oni wczuli się głębiej w odtwarzane postacie i potrafili wlać w nie wiele akcentów szczerości, o którą w grze artystów idzie przedewszystkiem. I inne sylwetki ludowe odtworzone zostały tym razem zupełnie dobrze i uposażone w rysy indywidualne przez pp. Bednarczyka, Wilczyńskiego, Szoberta, Siemaszkę, Krogul-

skiego, panie Micińską, Al. Trapszową i innych. Z bezbarwnej sylwetki dziedzica zrobił, co mógł, p. Śliwicki; dobrym ekonomem w dawnym, przebrzmiałym już stylu, był p. Szymanowski, a uczuciowym głęboko, pomiatanym przez wszystkich „niezdarą“ wiejskim — p. Roland, traktujący każdą rolę z jednakowym zapałem i nieustający w pracy nad sobą.

Wł. Bukowiński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Jeszcze walka z trustami.

Wobec przemysłowo-handlowych stosunków międzynarodowych los trustów amerykańskich jest dla Europy sprawą bardzo ważną i aktualną, albowiem rozwój ich lub upadek wpłynie wybitnie na rozwój lub upadek odpowiednich gałęzi przemysłu i handlu europejskiego. Dla Europy trusty amerykańskie są wprost zabójcze, gdyż ją oddają w przemysłową niewolę Yanków. To też wszystkie usiłowania ograniczenia lub sparaliżowania tychże trustów, powtarzające się po tamtej stronie oceanu coraz częściej i z coraz lepszym skutkiem, powinny być nam w szczegółach znane, według tego bowiem zapowiada się przyszłość i należy normować praktyczne przepisy gospodarki przemysłowej.

Pomiędzy wielu projektami walki z trustami na uwagę zasługuje świeży plan pokonania tych potwornych organizacyj przemysłowo-handlowych za pomocą odpowiedniej polityki kolejowej. Posłuchajmy co o tem mówi jeden ze znających rzecz autorów amerykańskich.

Położenie ekonomiczne z końcem roku 1902 w granicach wielkiej Rzeczypospolitej amerykańskiej przedstawiało ciekawy widok opanowania wszystkich niezbędnych środków do życia przez monopol. To, czego spożywca potrzebuje, zależy w zupełności od całkiem nieodpowiedzialnych kombinacyj finansowych. Zło rozpanoszyło się do tego stopnia, iż w niektórych przypadkach lud, nie czekając na akcyę ze strony swych sług w kongresie, sam rozpoczął walkę przez zaniechanie nabywania artykułów, ofiarowanych mu w tych niekorzystnych dla niego warunkach.

Czterdzieści lat temu partya republikańska, będąca obecnie u władzy, zainaugurowała, tak zwany, system amerykański. Istotę jego stanowią wysokie cła wwozowe, rzekomo zaprowadzone w celu wzięcia w opiekę robotnika amerykańskiego. Ta partya odniosła zwycięztwo przy ostatnich wyborach dlatego, że przyrzekła „pełny garczek na obiad przez przeciąg następnych lat czterech.“ Powodzenie systemu amerykańskiego przewiduje się na zasadzie dobrobytu robotnika miejscowego. Obfitość taniego, zdrowego jadła, odzieży, wygodne mieszkanie, wszystkie wreszcie warunki przyzwoitego życia dały możność robotnikom, zajętym w fabrykach amerykańskich, wytwarzać lepsze i tańsze artykuły dla rynku światowego w ciągu mniejszej ilości godzin pracy dziennej, niż jest to udziałem robotnika jakiegokolwiek innego kraju. Ameryka dlatego opanowała rynki światowe, że jej robotnicy fabryczni znajdowali się w stanie dobrobytu. System celny, dybiący na ten ich dobrobyt, byłby zły, nawet gdyby odpowiadał względom politycznym; jest zaś wprost występny, jeżeli zaprowadza się go dla popierania interesów prywatnych i wyjmuje z pod kontroli tych, którzy zostali upoważnieni przez naród do prowadzenia jego spraw.

Związki przedsiebiorstw przemysłowych, dążące do niesłusznego podniesienia ceny produktów, możliwe są wskutek dzisiejszego systemu przewozowego w Stanach Zjednoczonych; przyznają to sprawozdania międzystanowej Komisyi kolejowej. Gdyby taryfy kolejowe były dla wszystkich równe, jak być powinny według brzmienia statutu, i gdyby służyły interesom całego narodu, możnaby zapewnić taki rozdział środków do życia, że wszyscy korzystaliby ze zniżki cen, wynikającej z ułatwień w produkcyi. Ale w obecnych warunkach niepodobna tego osiągnąć. Tańszej sile roboczej, zwiększonej produkcyi, oszczędniejszemu traktowaniu materyałów surowych zamiast obniżki towarzyszy zwyżka ceny wszystkich środków spożywczych pierwszej potrzeby.

Cena mięsa, obok chleba, tego najważniejszego pokarmu dla ośmdziesięciu milionów obywateli amerykańskich, zależy od sześciu monopolistów. Organizacya ich wyklucza wszelką konkurencyę, wskutek czego wyzyskują oni cały naród. Wiadomo, że czysty dochód trustu mięsnego wyniósł w ciągu roku 1901 o sto milionów dolarów więcej, niżeli w roku 1900. Każdy funt mięsa wzrósł w cenie o trzy do pięciu centów (to znaczy o sześć do dziesięciu kopiejek). Nie nastąpiło to z powodu braku bydła; Ameryka bowiem zaopatruje większą część świata cywilizowanego w mięso, a racyonalne prowadzenia wielkich pastwisk dostarczyłoby jeszcze więcej bydła na rzeź, niż dzisiaj. Trust nietylko dyktuje ceny hodowcom bydła, ale także zmonopolizował sprzedaż, zabijając wszystkie małe handle rzeźnickie. Obrót roczny trustu mięsnego dochodzi do sześciuset milionów dolarów, i wzmaga się razem ze wzrostem ludności. Kiedy ceny w obrębie Stanów Zjednoczonych zwiększały się nieustannie, ceny wymagane od spożywców europejskich stosowano do warunków miejscowych każdego rynku z osobna. W ten sposób mięso amerykańskie tańsze jest w Londynie lub Liverpoolu, niż w Nowym Yorku lub Chicago — ponieważ zamrożone mięso australskie i zasada wolnego handlu zmuszają do zniżki cen. W ciągu roku 1901 Amerykanie dostarczyli na rynki europejskie mięsa za sto milionów dolarów, co dowodzi obfitości bydła na rzeź. Istnienie tego trustu stało się możliwe wskutek dogodnych warunków przewozowych. Lodownie na pociągach i parowcach, zniżone taryfy, wreszcie ulgi, przyznawane tym olbrzymim interesom, uniemożliwiły ludziom pojedynczym wszelką konkurencyę.

Trust młynarski tak obniżył cenę pszenicy i innych zbóż, że zniewolił farmerów do mielenia ziarna zagranicą. W celu uzyskania przewagi nad całą produkcyą zbożową kraju członkowie trustu napierają obecnie na kompanie kolejowe, aby ustanowiły dla nich takie taryfy przewozowe, które zmusiłyby amerykańskiego farmera do mielenia swego zboża w granicach kraju. Jeżeli stanie się zadość temu żądaniu, to produkcya zboża w Ameryce się zmniejszy. Równocześnie średnia cena mąki w Ameryce ogromnie wzrośnie.

Trust wełniany obniżył ceny produktu do tego stopnia, że stało się rzeczą wprost wątpliwą, czy się opłaci hodowla owiec. Równocześnie taryfy przewozowe zostały znacznie podniesione w porównaniu z taryfami, obowiązującemi wtedy, gdy cena wełny była dwa razy wyższa od tej, jaką hodowca otrzymuje obecnie.

Kalifornia skarży się, że jej pomarańcze muszą gnić na miejscu, ponieważ niepodobna całego zbioru dostawić na rynki zbytu. Nevada, Arizona, Nowy Meksyk, Utah, Idaho i Mongana twierdzą, iż obecny system kolejowy tamuje ich rozwój, ponieważ kompanie uznały za korzystniejsze przywozić towary z daleka w strony mniej kulturalne, niż pozwolić na rozwój przemysłu miejscowego, któryby dawał mniejszy dochód przy nizkich taryfach. Stany zachodnie skarżą się gorzko na zmniejszenie produkcyjności kopalni, wywołane porozumieniem pomiędzy kolejami a piecami do topienia i rafineryami. Faktycznie więc wytwórcze i handlowe siły Stanów Zjednoczonych cierpią wskutek warunków przewozowych, kłopotliwych i niegodnych wolnych Amerykanów.

Istniejący stan rzeczy, jakkolwiek mocno niepożądany, powstał w sposób zupełnie prawny. Należało urodzajny kontynent otworzyć dla cywilizacyi. Tymczasem środki komunikacyjne były niedostateczne. Trzeba było ogromnych wkładów w celu wybudowania wymaganych linij kolejowych, ich zaopatrzenia we wszystko i prowadzenia organizacyi, złożonej z miliona robotników. Koleje amerykańskie otrzymały niewielkie zapomogi od rządu, który nie poszedł za przykładem rządów europejskich, hojnie wspierających budowanie kolei. Postawienie całego interesu amerykańskiego na wysokiej obecnie skali zawdzięcza się zdolnościom administracyjnym tych ludzi, którzy zarządzają kolejami. Taryfy przewozowe i ceny biletów osobowych są stosunkowo nizkie. Służba kolejowa ulepsza się z roku na rok. Publiczność skarży się więc nie na to, że kompanie kolejowe ciągną wygórowane zyski, lecz że sprzyjają trustom i korporacyom, skutkiem czego niema żadnych widoków dla pojedynczego obywatela, opóźnia się powstawanie nowych przedsiebiorstw, a kontrola całego rynku dostaje się w ręce niewielu uprzywilejowanych, którzy zniewalają koleje do wprowadzenia ich systemu.

Na wszystkie te niedomagania autor amerykański znajduje jedyne lekarstwo w unarodowieniu kolei.

Wszystkie linie kolejowe Stanów Zjednoczonych przeszły w ostatnich latach w posiadanie niewielkiej ilości ludzi. W miarę wzrostu konsolidacyi utrwala się pewien stopień wzajemnego porozumienia pomiędzy pojedynczymi posiadaczami. Nie rozmyślnie, ale wskutek warunków koniecznych te kombinacye kapitału muszą rozwijać się i potężnieć coraz bardziej, aż w końcu przyjdzie zapytać, czy władza spoczywa w rękach rządu, powołanego przez konstytucyę, czyli też w rękach nieodpowiedzialnej koalicyi kapitału. Wydaje się rzeczą nieuniknioną, aby w miejsce obowiązującego dzisiaj przestarzałego i niedogodnego prawodawstwa zaprowadzono nowe, zgodniejsze z dobrobytem całego ludu.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

W ciągu maja r. b. na międzynarodowym rynku pracy nastąpiło polepszenie w porównaniu z tem, co się działo o tym samym czasie w roku ubiegłym. W Niemczech o poprawie stosunków świadczą cyfry ogłoszone przez biuro pracy. W Anglii, jakkolwiek w wielu gałęziach przemysłu przewidywane polepszenie nie nastąpiło, a liczba pozbawionych zajęcia w stosunku do roku poprzedniego nie powiększyła się, stale wykazując 4 na sto zajętych, to jednak do wielkich nadziei niema dotąd widocznych podstaw, gdyż we wszystkich gałęziach, mających związek z przemysłem żelaznym, zamówienia napływają bardzo wolno, popyt na wyroby zawsze słaby, ogranicza się do przedmiotów najniezbędniejszych, a ceny surowca wykazują skłonności zniżkowe. Wyraźniejszą i trwalszą okazała się poprawa stosunków na rynku pracy we Francyi. Ilość pozbawionych zajęcia zmniejszyła się znacznie: stanęła na 7%, gdy w roku zeszłym mieliśmy 10,5% w tym czasie. Szczególnem oży-

wieniem zaznaczyły się te wyroby, do których potrzebne jest żelazo przedewszystkiem w fabrykach automobilów. W przemyśle budowlanym zajęcia idą w całej pełni. W Stanach Zjednoczonych oczekiwane pogorszenie także nie nastąpiło, stan rynku pracy pozostał bez zmiany, a to też niemało zaważyło na szali ogólnych międzynarodowych stosunków pracy. W przemyśle węglowym zapotrzebowanie duże, a więc i stan pracy dobry; w przemyśle żelaznym niema pogorszenia, pomimo że kupcy hurtowni, licząc na zniżkę cen, z zamówieniami się powstrzymywali. Wielkie zapotrzebowanie surowca przez Związek Stalowy Stanów Zjednoczonych wpłynęło na znaczne ożywienie w fabrykach. Zawsze jeszcze zadawalająco przedstawia się stan rynku pracy w przemyśle tkackim, dobrze także w gałęzi fabrykacyi odzieży. Ruch podniósł się w rękawicznictwie, zamówienia są większe, niż kiedykolwiek przedtem, tak że nawet przechodzą często granice dotychczasowej możności dostawy. Popyt na chustki jedwabne przerasta też podaż miejscową, wskutek czego wiele towaru trzeba sprowadzać z zagranicy. W przemyśle szewckim zajęcia również dobrze stoją w Ameryce Północnej, choć wysokie ceny na towar gotowy szkodzą popytowi.

PRASA ROSYJSKA

— W *Gazecie Finlandzkiej* ogłoszono komunikat rządowy treści następującej:

„Najjaśniejszy Pan w d. 26 czerwca (9 lipca) r. b. Najwyżej rozkazać raczył: 1) usunąć Ernesta Ottona Okessena od pełnienia obowiązków prezydenta m. Wyborga; 2) upoważnić departament gospodarczy senatu do usunięcia członków magistratu wyborskiego, którzy brali udział w powzięciu uchwał, wyrażających opór rządowi przy wprowadzeniu ustawy o powinności z d. 12 lipca 1901 r., pod warunkiem, aby nowy skład magistratu objął swoje czynności najpóźniej d. 1 (13) września r. b., oraz 3) upoważnić senat finlandzki do starania się o wyjednanie zmian w sposobie zastępstw w magistracie m. Wyborga."

Rozkaz powyższy wywołały okoliczności następujące:

„Sekretarz wyborski, Brofeld, otrzymał urlop na wyjazd do gubernij wewnętrznych dla wydoskonalenia się w języku rosyjskim. Kamerjunker Fuks, w charakterze p. o. sekretarza wyborskiego, podpisał się na kilku dokumentach, już podpisanych przez gubernatora wyborskiego i przesłał je magistratowi miejscowemu do załatwienia. Papiery te, jak i kilka innych, podpisanych przez Fuksa w zastępstwie gubernatora, dotyczyły wprowadzenia w wykonanie ustawy wojskowej z r. 1901. Urzędnicy magistratu wyborskiego, z burmistrzem Okessenem na czele, posłuszni poleceniom tajnego komitetu rewolucyjnego helsingforskiego i uchwale tajnego zgromadzenia, odbytego w d. 12 listopada 1902 r. w hotelu Kempa w Helsingforsie, odmówili wykonania skierowanych do nich przez władzę poleceń o poborze wojskowym, motywując odmowę tem, iż „urzędnik nadetatowy Fuks, jako cudzoziemiec, na zasadzie § 10 ustaw rządowych z r. 1772, nie może legalnie być mianowany referentem rządu gubernialnego" i dlatego zwrócił gubernatorowi wyborskiemu bez załatwienia wszystkie papiery, podpisane przez kamerjunkra Fuksa.

W ten sposób magistrat m. Wyborga ośmielił się nie przyznać Najwyższemu rozporządzeniu z d. 18 (31) lipca 1902 r. mocy prawa i odmówił spełnienia prawnych żądań gubernatora.

Zuchwałe nieposłuszeństwo Najwyższej woli odniosło zasłużoną karę, która posłuży za nowy dowód przekonywający, iż władza rządowa stanowczo postanowiła zmusić do uległości względem swoich rozkazów, i wszelkie uchylanie się od nich, ktobądź dopuściłby się tego, będzie surowo karane.

Szczególną uwagę zwraca na siebie i ta część Najwyższego rozkazu, w której upoważniono senat do wyjednania zmian w sposobie zastępstw w magistracie wyborskim.

Nad tem panowie separatyści finlandzcy powinni gruntownie pomyśleć. Widocznie sposób obsadzania urzędów miejskich w drugiem, co do wielkości, mieście Finlandyi jest nieodpowiedni, skoro na urzędy miejskie powoływane są takie osobistości, które uważają się za uprawnione nietylko do niespełniania swoich bezpośrednich obowiązków służbowych, lecz uzurpują sobie prawo dawania przedstawicielowi najwyższej władzy gubernialnej lekcyi prawa państwowego. Rozkaz Najwyższy ma właśnie na celu zapobiedz na przyszłość możności wybierania na urzędy miejskie takich nieposłusznych prawu osobistości."

— *Nowoje Wremia* charakteryzując pokojową politykę względem Rosyi od czasu, gdy sekretarzem stanu w Watykanie został kardynał Rampolla, przytacza następujące szczegóły:

„Po śmierci Piusa IX, który nieraz znieważał pełnomocników naszych do zwracania mu z powrotem jego nieprzyzwoitych i niemożliwych żądań, po ciągłem mieszaniu się Watykanu do wewnętrznych spraw Rosyi podczas zaburzeń polskich, nadszedł czas zupełnego porozumienia i zadziwiającego taktu. Dość powiedzieć, że w całym tym okresie pokojowym nie otrzymaliśmy ani jednej interpelacyi, ani razu Watykan nie wmieszał się do spraw naszych. Wszystko uskuteczniano za wspólnem porozumieniem, a nawet nieraz, gdy Rosya występowała ze swemi żądaniami, Kurya rzymska starała się zawsze zapobiegać możliwym nieporozumieniom. Poświęcono wiele usiłowań, ażeby zaszczepić politykę pokojową wśród duchowieństwa polskiego po wrogiem wzburzeniu umysłów w epoce rewolucyj polskich. W końcu udało się tego dokonać za pomocą ciągłego wpajania w księży właściwych przekonań. I dotychczas biskupi polscy, swobodnie odwiedzający Rzym, otrzymują jedną tylko instrukcyę:

„Żyjcie spokojnie, nie mieszajcie się do polityki, podtrzymujcie ideę przymierza."

Dzięki takiemu kierunkowi, nawet propaganda, której działalność zawsze była dla nas wrogą, przestała występować zaczepnie. I chociaż czyni ona pewne uwagi co do stosunków z księżmi unickimi, lecz sprawy te, przechodzące przez Galicyę, miały charakter czysto wyjątkowy.

Leon XIII i jego *alter ego*, kardynał Rampolla, chętnie uznawali przymierze francusko-rosyjskie. Dla świata całego widomymi sprzymierzeńcami byli cesarz Aleksander III i prezydent Carnot. Po za nimi jednak stała jeszcze trzecia potężna, dzięki wpływom swoim, osoba papieża Leona XIII. Błogosławił on to przymierze i jako pasterz i jako dyplomata. W pierwszym razie błogosławieństwo jego było ważnem dla całej Francyi katolickiej, a w drugim okazał niezależność swoją względem przymierza potrójnego.

Wielu zapytuje: jaki cel miał Leon XIII w zawarciu przyjaźni z Rosyą?

Cel był wielki, a przytem czysto polityczny. Wybrawszy na sprzymierzeńca swego Rosyę, stawał się papież tym sposobem, jakby samodzielnym i potężnym panującym. Należy zapytać to przymierze potrójne, jak przyjęły ten nowy dowód niezależności papieskiej mocarstwa pozostałe.

Cała polityka Leona XIII dążyła ku podniesieniu potęgi papieskiej. Nie szedł on na nieposłusznych z mieczem, jak burzliwi jego poprzednicy. Działał jak subtelny polityk gabinetowy, posiadający agencye swoje w całym świecie. Siedząc w Watykanie, naciskał w swoim czasie guzik elektryczny, a dzwonki odzywały się w Paryżu, Berlinie, Wiedniu.

Wiedzieli o tem wszyscy i dlatego liczyli się z papieżem. Tradycye średniowieczne, których trzymali się jego poprzednicy, były dla niego nie po myśli. Szedł on zawsze za postępem, a każdy jego czyn stanowił w swoim rodzaju ostatni wyraz sztuki politycznej. Być może, że jedynie tylko względem Rosyi stosował on pierwotny i najprostszy system polityczny. Bez zbytecznych podstępów, bez wszelkich „lecz" wszedł on z nią w porozumienie pokojowe. A to więcej jeszcze dowodziło nietuzinkowego umysłu Leona XIII i jego daleko sięgającego wzroku politycznego. Wiedział on, czem można pozyskać Rosyę, wiedział, że Rosya nie pozostanie mu za to dłużną.

Jedynym kontynuatorem przyjaznej polityki Leona XIII jest obecnie w Watykanie kardynał Rampolla. Byłby przeto właściwym obiór jego na papieża."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ogłoszone zostało prawo o starostach robotników w zakładach przemysłowych, o podziale robotników na grupy, które przedstawiać będą kandydatów na starostów. Starostowie wybrani przez zakład upoważnieni będą do utrzymywania stosunków pomiędzy zarządem zakładu a władzami rządowemi; a nadto przysługiwać im będzie prawo zwoływania zebrań robotniczych w celu omawiania spraw dotyczących najmu i bytu

— Policya odeska wykryła zmowę właścicieli zakładów pogrzebowych, skutkiem której cena przenoszenia zwłok wzrosła niepomiernie; w pewnym wypadku np. za przeniesienie zmarłego na przystań pobrano 1,000 rb. Wobec stwierdzenia faktu zmowy, sporządzonej przed rejentem, wszyscy „pogrzebacze" zostali aresztowani. (*Odesk. Now.*).

— Wydany został okólnik, zezwalający dzieciom żydowskim płci męzkiej w wieku od lat 5 do 14 towarzyszyć ojcom zesłanym na osiedlenie.

— P. Zofia Hochowa, ku uczczeniu pamięci męża ofiarowała 10.000 rb na przytułek dla inwalidów pracy przy ulicy Młynarskiej, oraz 5,000 rb. na wpisy szkolne dla dzieci urzędników warszawskiego Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego.

— Rabinat krakowski wystosował do wszystkich domów modlitwy odezwę potępiającą napad na artystów w znanem zajściu na Kazimierzu i wzywa Żydów, aby nie dawali wiary kłamliwym wieściom, które tylko przynoszą im szkodę i wywołują rozdwojenie śród ludności.

— Pp. Wacław i Jadwiga Mańkowscy z Moji, w gub. Podolskiej ofiarowali po raz wtóry sumę 50,000 rb. na dom zarobkowy dla chłopców na Pradze.

— Podpisaną została umowa między reprezentacyą kraju a administracyą państwa austryackiego w sprawie opróżnienia Wawelu z wojska. Koszt restauracyi zamku obliczono na 3 - 4 milionów koron.

Z Poznańskiego. W Lewerkuzen, pod Kolonią, 100 z górą robotników Polaków, zatrudnionych od lat kilku w fabryce farb, otrzymało rozkaz opuszczenia Niemiec, uznano ich bowiem za „niedogodnych cudzoziemców" (lästige Ausländer).

Szkoły i wychowanie. Opracowaną została nowa instrukcya w sprawie dozoru lekarskiego w szkołach, według której lekarze obowiązani będą odwiedzać zakłady powierzone ich nadzorowi przynajmniej raz na tydzień, im też oddany zostaje nadzór nad stanem hygienicznym gmachu szkolnego i wszystkich jego pomieszczeń. Prócz obowiązku utrzymania zdrowotności w szkole, do lekarzy należeć będzie odwiedzanie chorych uczniów w domu.

— Uczniom szkół średnich zabroniono uczęszczania do domu ludowego i do ogrodów, w których urządzane są zabawy.

— Główny zarząd poczt i telegrafu opracował projekt utworzenia specyalnych kursów pocztowo-telegraficznych przy 4 lub 6-klasowych szkołach miejskich. Kursy mają być trzyletnie i dawać rangę urzędniczą Kandydaci przyjmowani będą po ukończeniu 2-klasowej szkoły miejskiej lub 4 klas gimnazyum. Kursy takie mają powstać w Kijowie, Wilnie, Warszawie i Charkowie.

Literatura i prasa. Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne ogłasza konkurs na napisanie podręcznika do prowadzenia rachunkowości w aptekach,

który ma obejmować: 1) treściwie i jasno wyłożone główne zasady buchalteryi podwójnej; 2) wykaz, opis i wzory ksiąg niezbędnych do prowadzenia rachunkowości w aptekach; 3) wykaz i objaśnienia rachunkowości księgi głównej; 4) opis ustanowienia czystego dochodu rocznego i sporządzenia bilansu rocznego. Podręcznik powinien być napisany językiem jasnym i popularnym, wszelkie wyrażenia specyalne objaśnione tak, ażeby nawet osoby nieznające buchalteryi, mogły przedmiot dobrze zrozumieć. Podręcznik, nagrodzony (250 rb.) staje się własnością Towarzystwa. Termin nadsyłania prac oznaczono po d. 30 listopada r. b.

— Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych wydawnictwo czasopisma *Władimirskaja Gazeta* zawieszone zostało na 8 miesięcy.

— Od 1 sierpnia wychodzić będzie we Lwowie tygodnik p. t. *Głos lekarzy*, którego zadaniem będzie bronienie interesów stanu lekarskiego. Wydawnictwo zasilać ma Tow. lekarzy galicyjskich i „Samopomoc lekarska."

— **Wiadomości naukowe.** Tow. lekarskie w Warszawie przyznało nagrodę im. Kaczorowskiego dr. Ganzowi za pracę „O rozpoznawaniu gruźlicy kiszek na podstawie badań bakteryologicznych."

— Piąty kongres psychiatrów odbędzie się r. 1905 w Rzymie.

Ze sztuki. W Krakowie otworzono wystawę prac uczniów miejscowej Akademii sztuk pięknych.

Z muzyki. W dniach 30 września do 5 października r. b., w Berlinie, w „Thiergartenie," odbywać się będzie międzynarodowa uroczystość odsłonięcia pomnika Ryszarda Wagnera, a jednocześnie odbędzie się w gmachu parlamentu niemieckiego międzynarodowy kongres muzyczny w sprawach muzyki — jej praktyki i teoryi — umiejętności, w kwestyach najnowszych i najważniejszych, podzielony na 5 sekcyj: 1) wiedza muzyczna (historya muzyki, estetyka, akustyka, wykłady w uniwersytetach); 2) pedagogia muzyczna (szkoły niższe, średnie i wyższe — nauczycielskie konserwatorya); 3) książki, pisma, nuty; 4) budowa instrumentów; 5) fonografy.

Zdrowie publiczne. Dżuma grasuje we wszystkich prawie portach Chili.

Sprawy ekonomiczne. Zatwierdzoną została ustawa warszawskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń na życia, które wyrzekając się spekulacyi, dążyć będzie do rozpowszechnienia idei przezorności śród warstw jak najszerszych. Najwyższą sumę ubezpieczenia oznaczono na 5,000 rb.

— Pożyczka m. Warszawy, w sumie 33 milionów rubli, uzyskała zatwierdzenie władz ministeryalnych.

— Ministeryum rolnictwa zamierza rozpatrywany obecnie projekt wydawania pożyczek na melioracye rolne rozciągnąć również na operacye zakupu maszyn, narzędzi rolniczych i żywego inwentarza, oraz na zasiewy pastewne, jak również włączyć do liczby korzystających z tego kredytu: włościan, związki włościańskie pod gwarancyą ziemstw i Towarzystwa rolnicze, rozszerzyć instytucye inspektorów gubernialnych do spraw rolniczych i specyalistów w zakresie melioracyi, oraz utworzyć komitety miejscowe do wydawania pożyczek we wszystkich guberniach, nie wyłączając tych, które nie posiadają instytucyj ziemskich.

— W roku ubiegłym były czynne w naszym kraju 62 instytucye kredytu drobnego, w tem 24 Towarzystwa wzajemnego kredytu i 38 stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych. Wszystkie te instytucye liczyły 65,000 członków z udziałem 7 i pół miliona rubli; czysty zysk wyniósł 780,000 rb.

Koleje i komunikacye. Od d. 14 b. m. kolej Kaliska i nowe linie szerokotorowe kolei Fabryczno-Łódzkiej włączone zostały do bezpośredniej komunikacyi towarowo-osobowej ze wszystkiemi innemi w państwie.

— Rozpoczęto budowę drogi bitej, kołowej amurskiej, 1,900 wiorst długiej. Przy budowie pracują przestępcy skazani do robót ciężkich.

— Zarząd kolei duńskich postanowił zaopatrzyć wagony klasy trzeciej w biblioteki ludowe, z których podróżni korzystać będą mogli bezpłatnie.

Katastrofy. Na Wołdze, pod Sormowem, spłonął parowiec „Piotr I"; w płomieniach zginęło 30 osób.

Zmarli. Wincenty Kornecki, wydawca i właściciel drukarni w Krakowie.

— A. J. Renard, geolog i oceanograf, profesor uniwersytetu gandowskiego.

— Gregor Samarow (Oskar Meding), powieściopisarz niemiecki, w Charlottenburgu.

— Władysław Połkotycki, pedagog, autor podręczników szkolnych.

— Feliks Urbanowicz, przyrodnik, nauczyciel szkoły technicznej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Іюля 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.